

DOM



ÓWKA

freshmaga

23.11
Sobota — Start 21:00

ul. Szkolna 17 — Poznań

Redakcja Freshmag nie ponosi odpowiedzialności za zmiany terminów imprez oraz za treść reklam.



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Dożyliśmy czasów, w których wchodząc w miejską przestrzeń, czujemy się, jakbyśmy wchodzili do galerii. Oczywiście nie chodzi mi tutaj o zalew miasta galeriami handlowymi, tylko o aspekt sztuki współczesnej. Daleko nam jeszcze do „galerii miejskiej” Łodzi, ale powolutku idziemy w podobnym kierunku. ZKZL jest coraz bardziej otwarty na propozycje artystów. Poruszając się po centrum miasta, często mijamy kolorowe ściany (świadomie lub nieświadomie), z których płynie społeczny przekaz. Oprócz wszechobecnego graffiti, które w Poznaniu jest obecne od połowy lat 90-tych, w centrum i nie tylko powstaje coraz więcej wielkich murali. Miasto robi się kolorowe, a prace artystów cieszą się dużą popularnością. Temu tematowi poświęcamy w tym numerze sporo miejsca. Mamy jeszcze dużo przestrzeni, którą można dobrze zagospodarować. Chętni? Bardzo mnie też cieszy, że dzięki prywatnym inicjatywom powstają nowe, niezależne galerie, gdzie wystawiają się artyści, którzy jeszcze niedawno mogli pokazać się tylko w nielegalny sposób. Daleko jeszcze do stwierdzenia, że street art i graffiti wchodzi na salony Poznania, ale warto zwrócić uwagę, że coś w tym kierunku się dzieje. Niech przykładem będzie Michał Dumin, artysta tego numeru, który przygotował nam dedykowaną okładkę i dał obszerny wywiad. Jeśli chodzi o sztukę współczesną, to w Poznaniu mamy ten luksus, że mamy m.in. Galerię na Dziedzińcu w Starym Browarze, gdzie pojawiają się prace artystów światowego formatu. Była Björk, był David LaChapelle, teraz będzie Daniel Lismore. O tym również więcej w tym numerze. Jak powiedział nasz rozmówca Michał, daleko nam może do Berlina czy Nowego Jorku, ale Poznań ma też swój unikatowy klimat, gdzie dzieje się dużo, odpowiednio do skali naszego miasta. Miłej lektury.



REDAKTOR NACZELNY:
Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:
BUCZ
ul. Sikorskiego 3B/1
75-360 Koszalin

REKLAMA:
Dawid Balcerek
T: 508 243 456

Michał Krupski
T: 695 823 184

**ZASTĘPCA REDAKTORA
NACZELNEGO:**
Michał Krupski
michal@freshmag.pl

PROJEKT I SKŁAD:
Adam Korzeń
kontakt@adamkorzen.pl

WSPÓŁPRACA:
Natalia Bednarz
Viola Łeckańska-Błaszczak
Sylvia Klaczyńska
Nicole Piotrowska
Magda Chomczyk
Joanna Gruszczyńska
Marcin Moj

Malika Ledeman

NAKŁAD:
4000 sztuk

OKŁADKA:
Michał Dumin

Wosk Soundsystem (Sąsiad × Pudel) × Robert Błaszczyk × Grażyna Biedroń

freshmag.pl

6

Michał Dumin, artysta o wielu twarzach

11

Ściany, które mówią

16

Marcin Czubala w nowej odsonie

20

NIETONIE

22

Wywiad z MYTUJEMY

26

Kawiarnia jakiej nie było

28

Wywiad z Zuzanną Kołodziejczyk

30

Czarownica z Łazarza

32

Festiwal o młodszej energii

34

Co zrobisz, gdy spotkasz Daniela Lismore'a?

36

Przesiew kulturalny

38

Wywiad z Tomaszem Hejną

40

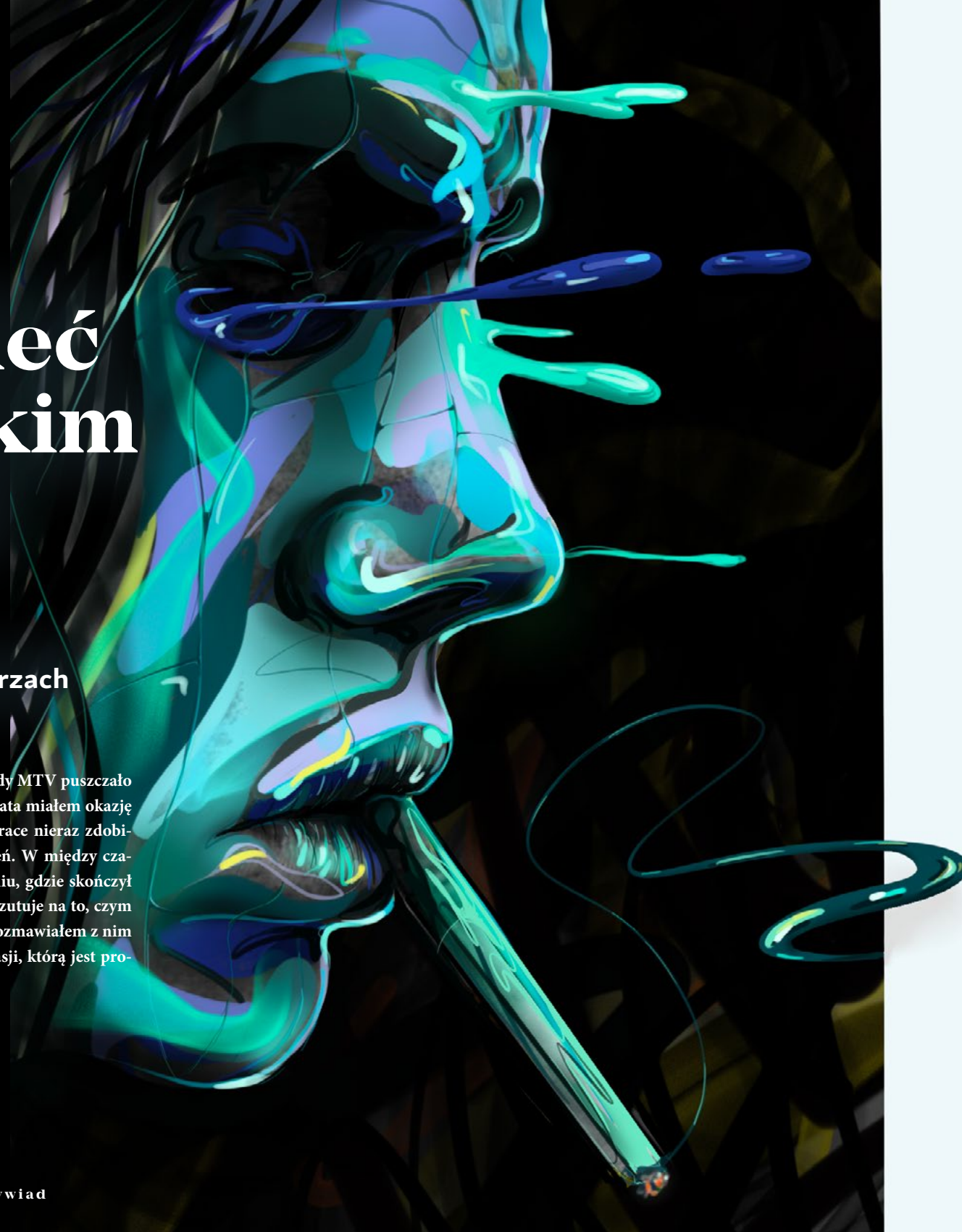
Śpiewająca z niedźwiedziami

„Wolę wiedzieć coś o wszystkim niż wszystko o czymś”

Michał Dumin, artysta o wielu twarzach

➤ Tekst: Dawid Balcerek

Z Michałem poznaliśmy się bardzo dawno temu - w czasach, gdy MTV puszczało jeszcze muzykę. Pamiętam jego pierwsze prace i potem przez lata miałem okazję z bliska przyglądać się jego artystycznemu rozwojowi. Jego prace nieraz zdobiły ściany poznańskich galerii, jak i również miejską przestrzeń. W między czasie został absolwentem Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, gdzie skończył Wzornictwo w Katedrze Mebla. Ten fakt z pewnością mocno rzutuje na to, czym dzisiaj się zajmuje i z czego utrzymuje się Michał. Dlatego porozmawiałem z nim nie tylko o sztuce i malowaniu, ale i również o jego drugiej pasji, którą jest projektowani mebli.



Jakiś czas temu chyba przystopowałeś z malowaniem, na rzecz innych projektów...

Z reguły jest tak, że jeśli nie publikuję nic z zakresu malarstwa, to pewnie zajmuję się jakimiś innymi ciekawymi sprawami. Zawsze miałem tak, że interesowało mnie zbyt dużo rzeczy i dziedzin. Ciężko jest mi rzucić wszystko i skupić się na jednej, choć aktualnie ceniona jest specjalizacja - w im węższej dziedzinie, tym lepiej. Szczerze? Wolę wiedzieć coś o wszystkim, niż wszystko o czymś, bo w rezultacie nie wiesz nic o wszystkim. Wolę spojrzenie z góry, ogląd całości. Oczywiście, trzeba umieć wyławiać poszczególne elementy, ale nie ma sensu wymyślać czegoś na nowo, skoro ktoś już to zrobił.

Ostatnio jednak się rozkręciłeś i zrobiłeś się bardzo płodny. Co chwilę widzę na Twoim profilu nowe prace.

Wcześniej malowałem dużo w realu, ale nie wszystko wrzucam do sieci. Jestem raczej kiepskim mecenasem własnej sztuki. Zrobienie zdjęcia, wpompowanie go do mediów, opisanie, ohashtagowanie, omalpowanie, obrobienie, obrandowanie i inne „O”, to raczej moja słaba strona. Pewnie stąd ta cisza. Aktualnie robię sporo digitalu, co dużo łatwiej ogarnąć. Wystarczy dwa kliknięcia i voilà!

Tutaj nasuwa się ważne pytanie. Czy w dzisiejszych czasach artysta może sobie pozwolić na to, żeby nie mieć profilu w social mediach lub strony internetowej, gdzie prezentuje swoje prace?

Pewnie że może! To kwestia wyboru. Dla mnie to zwykłe narzędzia, które wspomagają pracę, ale nie są celem samym w sobie. Rozumiem jednak tych, którzy w ogóle nie używają Insta czy Facebooka. Jest ich coraz mniej, bo social media to sprawne i szybkie narzędzia, ale jak już mówiłem - sztuka jest dla ludzi, a przekazywać ją można w dowolny sposób.

Kim jest „Nikt”, czyli postać, która przewija się w Twojej twórczości praktycznie od samego początku Twojej przygody z malowaniem?

Nie nazwałbym tego przygodą. Po etapie przedszkola po prostu nie przestałem rysować i malować, w innych godzinach niż zajęcia plastyczne. Moje zeszyty były zawsze bardziej zabazgrołone od tyłu niż od przodu. Wychodząc na dwór z kolegami szukaliśmy ścian do pomalowania. Mocno nas to wtedy łączyło. Postać pojawiła się z czasem. To chęć formalizowania i zamykania twórczości w ramach opartych na własnych pomysłach po to, by były bardziej rozpoznawalne, kojarzone, w jakimś stylu, dała jej formę. Dzisiaj myślę inaczej i uważam, że styl jest zabójcą kreatywności, służy głównie lechtaniu ego artysty. Oczywiście kontynuuję to, co zacząłem, bo to przyjemne, a bez tego nie byłoby tego wywiadu. Jednak zabijanie się o lajki i walka o uwagę mnie nie jara. Robię to bardziej, żeby coś po sobie pozostawić.

Dlaczego to właśnie „Nikt” jest tak często bazą Twoich prac? Poza płótnami zdarza mu się występować w miejskiej przestrzeni. Jest bardzo uniwersalny.

„Nikt” po prostu zdarza się w moich pracach. Nie był nigdy bazą mojej twórczości, a raczej epizodem, który po prostu lubię. Uniwersalność to klucz do tego typu conceptów. Jeśli coś ma być dobre, czyli to za X lat musi nadal być aktualne. Siłą rzeczy musi być więc uniwersalne, bo przecież świat dookoła się zmienia, a już szczególnie, jeśli ma działać zarówno w tkance miejskiej na obrazach, jak i nadruk na gaciach. Zawsze uważałem, że sztuka jest dla ludzi, stąd moja młodzieńcza pasja do graffiti. Coś, co upiękniejszy przestrzeń i może zostać zauważone przez Zenka spod kiosku, zawsze bardziej do mnie przemawiało, niż zamknięty obieg galeryjny lub kolekcjonerski tylko dla wybranych oczu.

Ta postać i Twój styl także, ewoluowały na przestrzeni lat. Pamiętam naszą starą okładkę sprzed kilku lat, gdzie miał bardzo prostą formę. Później stał się mocno ekspresyjny i kolorowy. Na ostatniej wystawie w marcu miał zaś formę rysunkową z charakterystyczną mimiką. Natomiast dzisiaj „Nikt” może być każdym...

Wzrost i ewolucja wydają mi się czymś naturalnym. Zawsze staram się podchodzić do tematu profesjonalnie. Samo to słowo zakłada rozwój, dlatego nie potrafię zamknąć się w danej formie i w niej tkwić. Jeśli musiałbym powielić dany wzór bez końca i możliwości modyfikacji, mógłbym równie dobrze usiąść w markecie na kasie, bo nie widzę dużej różnicy między tymi dwoma zajęciami. Szanuję każdą pracę, ale podkreślam też, że mamy wybór.

Twoje najnowsze prace nawiązują do konkretnych osób. To ludzie są dla Ciebie największą inspiracją?

Jeśli chodzi o sztuki piękne, to uważam, że ludzie to najlepsza inspiracja, bez względu na efekt. Dobrze, jeśli sztuka do nas trafia, a tak jest z tym, co najlepiej znamy. W 90% przypadków wybierzesz ser gouda z polską etykietą, a nie francuski crottin de chavignol. (śmiech) Ludzie w moim zawodzie cierpią raczej na deficyt czasu spędzonego z innymi ludźmi, tak że robię wszystko, żeby to zmieniać. Poza tym, przynajmniej dla mnie, przyjemniejsze jest rysowanie ciała, bardziej morficznych form.

Na swoim koncie masz kilka wernisaży. Dawno jednak żadnego nie było, więc pewnie już planujesz coś w najbliższym czasie...

W okresie przedświątecznym będę brał udział w zbiorowej wystawie orga-



nizowanej przez mojego przyjaciela w Galerii Zacnie. Będzie tam można zobaczyć prace wielu ciekawych, polskich artystów. Poza tym, staram się co jakiś czas organizować wystawy w pracowni, z której na co dzień korzystam z moim serdecznym przyjacielem. Ostatnio mało tam bywam, czas to zmienić. Przygotowuję też projekt brandu meblarskiego, w ramach którego będę produkował własne projekty i zapraszał do współpracy zdolnych artystów, tych starszych i młodszych.

Galeria Zacnie stała się czymś na kształt poznańskiego centrum kultury i spotkań, nie tylko niezależnych artystów, ale i zwykłych obserwatorów miejskiej sztuki. Dobrze, że w końcu dzieje się w Poznaniu coś na większą skalę. Myślisz, że będzie jeszcze lepiej?

Tak, i będą to raczej prywatne inicjatywy. Niestety, przy obecnym państwowym mecenacie, raczej nie wierzę, że może stać się coś przełomowego. Nie



oszukujemy się, to nie jest Berlin czy Nowy Jork, żeby nie móc nadążyć za tempem życia kulturalnego. Ja jednak właśnie za to lubię Poznań, że ma fajną skalę i ludzi, którzy są tam, gdzie są, nie z przypadku.

Jesteś wszechstronnym artystą, bo oprócz malowania zajmujesz się również projektowaniem mebli, wnętrz i tworzeniem grafiki. Która z wymienionych rzeczy sprawia Ci największą przyjemność? W czym się czujesz najmocniejszy?

Najwięcej przyjemności czerpię z malarstwa, bo ono pozwala mi najlepiej wyrazić siebie. Jest tu dużo pytań i aspektów do zgłębiania. Design to bardziej dawanie odpowiedzi, przynajmniej na takim poziomie, na jakim ja działam, czyli w formie usługi. Jest to skuteczne narzędzie komunikacji czy rozwiązywania problemów, a także ciekawy sposób na zarobek. W meblach czy w ogóle wzornictwie fajne jest to, że efektem jest namacalna rzecz, dla mnie bardziej satysfakcjonująca niż plakat czy strona www. Ciekawy jest cały proces wytwarzania, od projektu do końcowego obiektu, a także ludzie, z którymi się współpracuje, oraz wiedza o materiałach.

Wchodząc w temat mebli, jakie cechy powinny mieć współczesne projekty meblarskie - praktyczność, wielowymiarowość czy po prostu estetyka?

Dobry projekt powinien być funkcjonalny. Pytanie, o jaką funkcję chodzi? Czy rzecz ma służyć do przechowywania teczek z danymi RODO, czy może podkreślenia zasobności portfela w biurze potentata naftowego?

Na początku zawsze jest pytanie, później przychodzi - dość szybko na ogół - odpowiedź. W pewnym momencie problemem nie jest wygenerowanie pomysłu, tylko wybór, na który z nich poświęcić czas. Dlatego tak ważny jest zespół i wiedza ludzi, którymi się otaczasz. Dużą popularność zyskują rozwiązania systemowe i produkty, które możesz rozbudowywać. Meble raczej będą coraz mniejsze, bardziej funkcjonalne. Mocno rozwija się też Internet rzeczy (IoT), a firmy prześcigają się w tworzeniu coraz nowszych funkcji i generowaniu potrzeb. Funkcjonalność to jednak nie wszystko. Jeśli mebel jest brzydki, nie zdobędzie szerszego uznania, bo zakup to proces emocjonalny i często wygląd dominuje nad funkcją. Fajnie, jeśli jest to odpowiednio zrównoważone, dlatego proces projektowy jest dla mnie często rezygnowaniem, okrawaniem, odchudzaniem, aby dojść do istoty funkcji.

Jak przebić się ze swoją twórczością w dobie "Ikei"?

Ikea to super firma, ale nie należy jej fetyszyzować. Jej produkty szybko się zużywają, no i ciężko zrobić oryginalne wnętrza z mebli, które są w połowie polskich mieszkań, nie dysponując minimalną pomysłowością. Mam parę mebli z Ikei i są ok. Jest za to ogromna przestrzeń dla ludzi, którzy szukają czegoś bardziej indywidualnego, mniej masowego, trwalszego. Przy odpowiedniej strategii i konsekwentnym budowaniu oferty, można tworzyć polskie firmy, które odpowiedzą na te potrzeby, tym bardziej, że Polska jest w czołówce światowej produkcji mebli. Gorzej jest z brandami i naszą polską reputacją, ale i to powoli się zmienia. Nie powinniśmy mieć kompleksów - polskie projekty mebli czy architektury mogą mierzyć się ze światowymi rywalami.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że warto myśleć "materiałem". Co to oznacza?

Materiał niesie ze sobą tyle samo ograniczeń, co możliwości, dobrze jest sobie zdawać z tego sprawę. Ta wiedza przychodzi z czasem - czasem jest pomocna, czasem ogranicza. Każdy, kto poważnie myśli o projektowaniu, nie może bać się wziąć w rękę piły lub iść zamieszać beton na budowie. Czasem trzeba przesiedzieć wiele godzin patrząc, jak ludzie używają Twojej nowej aplikacji albo wypełniają druk, który zaprojektowałeś.

Na koniec trochę fantazji. Gdybyś miał nieograniczony budżet i mógłbyś wykonać artystycznie/twórczo jedną rzecz. Co by to było?

Nie jestem Tobie w stanie odpowiedzieć, bo na pewno dążyłbym do połączenia dziedzin z kręgu moich zainteresowań. Chciałbym, aby efektem było coś, czego jeszcze nie ma, więc sam rozumiesz....



Ściany, które mówią

Poznańskie murale z bliska

➤ Tekst: Joanna Gruszczyńska, Foto: Sylwia Klaczyńska

Poznański street art ma wiele twarzy. Twórca inicjatywy „Z bliska / Z daleka”, Tomasz Bombrych, udowodnił to po raz kolejny. Na mapę Poznania naniósł 94 punkty, które odpowiadają miejscom z graffiti, muralami, neonami i typografią. Pod koniec sierpnia pojawiła się trzecia edycja przewodnika i z tej okazji zabieram was na krótki spacer szlakiem poznańskich murali.

Startuję ze Śródki. Śródka dobrze mi się kojarzy, bo pracowałam tam jeszcze niedawno w kawiarni. Pamiętam, jak w drugi dzień mojej pracy kobieta w szafirowych, obryzanych białą farbą ogrodniczkach przyszła do Domu na Śródcie i wypytała o panią Jagnę, właścicielkę kawiarni. Zamówiła napar goździkowy, usiadła przy witrynie i czekając na Jagnę, wpatrywała się w „Zieloną Symfonię” - instalację, której jest pomysłodawczynią i wykonawczynią. Dopiero później dowiedziałam się, że kobieta w niebieskich spodniach to Arleta Kolańska, prezeska śródeckiej fundacji artystyczno-edukacyjnej „Puenta”. Poprosiłam panią Arletę o spotkanie. Na pytanie, dlaczego instalacja z rynien i rur powstała w tym miejscu, czyli na kamienicy od strony ul. Cybińskiej, odpowiada, że ta część Śródki wymagała rewitalizacji. Pojawiły się ogródki gastronomiczne, a obdarta ściana z tyłu straszyla. Fundacja „Puenta” ogłosiła wtedy konkurs na mural dla studentów poznańskiego Uniwersytetu Artystycznego, ale żaden projekt nie spełnił oczekiwań jury i nie został zrealizowany. Wtedy Arleta Kolańska przypomniała sobie o Dreźnie - o Pasażu Artystycznych Dziedzińców i „Grającym Domu”, który stał się inspiracją do jej projektu

„Zielonej Symfonii”. Poznańska instalacja nawiązuje też do muzycznej tradycji Śródki, gdzie znajduje się Katedralna Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna i Poznańska Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna im. Tadeusza Szeligowskiego. - *Na otwarciu instalacji w Dzień Muzyki zagrała lokalna orkiestra* - przypomina mi pani Jagna. „Zielona symfonia”, ze względu na swój rozmiar i położenie - typowe dla wielkoformatowych malowideł na ścianach kamienic - często nazywana jest murałem, ale - w gruncie rzeczy - nim nie jest. Praca Arlety Kolasińskiej to układ rurek, tulejek i rynien, ułożonych w ten sposób, aby przepływający przez nie deszcz, uderzał o ich metalową konstrukcję i wydobywał z nich dźwięki. Pamiętam, jak ludzie wchodzili do kawiarni i na wejściu pytali mnie podekscytowani: *Ona naprawdę gra? Słyszała Pani?* Arleta Kolasińska zdradziła mi: *Robi-*



my wszystko, by wiosną, codziennie np. o 17, „Zielona Symfonia” zagrała szumem spadającej wody. Na dole postawimy baniak zbiorczy, z którego mieszkańcy Śródki i właściciele ogródków będą mogli czerpać wodę i podlewać swoje rośliny. Artystka na koniec dodaje, że „Zielona Symfonia” - jak każda instalacja - to projekt nieskończony, który cały czas będzie się zmieniać, rozwijać i zaskakiwać poznaniaków.

Grająca instalacja to nie jedyna i nie pierwsza tego typu realizacja fundacji Puenta. Inny mural, „Opowieść śródecka z trębaczem na dachu i kotem w tle”, powstał trzy lata wcześniej niż „Zielona Symfonia”. Na placu na skrzyżowaniu ul. Śródka i ul. Filipińskiej od dawna działo się wiele. Zanim pojawił się tam słynny mural, z inicjatywy fundacji Puenta na placu odbywały się wydarzenia w ramach Mobilnego Domu Kultury, a stowarzyszenie Śródeja organizowało w tym miejscu Dzień Sąsiada i Wigilię Śródecką. Otoczenie nie było jednak sprzyjające. Brudna ściana kamienicy z niszczącą grafiką, stworzoną przez dzieci w ramach projektu społecznego, nie była najlepszym tłem do wydarzeń kulturalnych. W końcu pojawiły się głosy, żeby ścianę przemalować. Do pani Arlety odezwała się

wtedy Anna Przybylska. „Słuchaj, jest ten pomysł Radka Bareka z Wędrownych Architektów. Radek na podstawie starych zdjęć Śródki zrobił rysunek, który nadaje się na mural.” Projekt był na tyle oryginalny, że został zaakceptowany. Rozpoczęło się szukanie środków i pisanie wniosku na konkurs Centrum Warte Poznania. Arleta Kolasińska bała się, że tytuł, jaki wymyśliła, będzie za długi i się nie przyjmie. „Opowieść śródecka z trębaczem na dachu i kotem w tle” to rozbudowana nazwa, trudna do zapamiętania, ale z drugiej strony daje podpowiedź, jak interpretować mural. Malowidło opowiada o przeszłości Śródki, najstarszej części Poznania. Obecność kota nawiązuje do faktu, że na Śródcie było kiedyś pełno miauczących czworonogów, a trębacz to duch hejnalisty z nieistniejącego już śródeckiego ratusza. Kiedy mural skończono i zdjęto rusz-



owania, Internet się zatrząsł. Pojawiło się tysiące polubień, udostępnień i pozytywnych komentarzy. O Śródcie wspominały ArchDaily i Bored Panda, znane na całym świecie magazyny o architekturze, sztuce i designie. Mural wzbudził niespodziewane zainteresowanie. Zawiązała się dyskusja - sztuka czy kicz? Dwa lata później National Geographic uznał „Opowieść śródecką...” za jeden z 7 nowych cudów Polski. Arleta Kolasińska śmieje się, że jej zespół nigdy nie czuł, że robi coś wielkiego. Chodziło im o tymczasowe zamalowanie brzydkiej ściany i opowiedzenie historii Śródki. Wspomina, że jakiś czas temu dostała telefon od znajomego fotografa, który skarżył się brak znaków na mural na Rondzie Śródka. Ze smutkiem mówi też o tym, że pojawiało się wiele komentarzy typu: „Gdzie jest w ogóle ta Śródka?”. Na pytanie o przyszłość muralu odpowiada: „Właściciel placu nie zamierza na razie nic budować. Wspólnie ze Śródeją zbieramy środki na jego rewitalizację. Chcemy wyjść z murałem w przestrzeń. Planujemy zmienić nawierzchnię placu i postawić ławki. Kwaciarnia „Tamaryszek” i „Ogród Zawady” będą mieć tu swoje ogródki. Może zauważyłaś, że z namalowanych na ścianie drzwi wychodzą już

brukowane uliczki?” Dziękuję pani Arlecie za spotkanie i ruszam dalej. Zaczyna kropić, więc pędzę na tramwaj, żeby nie zmoknąć. Po drodze, przy zejściu do przystanku tramwajowego, mijam kolorowe graffiti. Korowód tytek z oczami i ludzików, które przypominają kanciaste postacie ze znaków drogowych. Z przewodnika „Z bliska / Z daleka” dowiaduję się, że autorem pracy jest @above_love_art. Napisałam do niego na Instagramie, żeby zapytać się, gdzie znajdę więcej jego rysunków. „I can get U some locations. Just give me like half An hour. Is that fine with U love? <3” - odpisał po chwili, ale lokalizacje dosłał mi dopiero następnego dnia rano. Kilka dni później sprawdziłam wskazane przez niego miejsca i rysunki odnalazłam: po obu stronach mostu Chrobrego, przy przejściu podziemnym



za Cybinką oraz na blaszanej bramie w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się kompleks OFF Grabary.

Wsiadam w 17, podjeżdżam jeden przystanek i wsiadam na Małych Garbarach. Rozkładam mapę „Z bliska / Z daleka”, która prowadzi mnie na ulicę Żydowską, do Cafe Ławka. Tutaj czeka mnie niespodzianka. Wchodzę do kawiarni, tłumaczę, że szukam poznańskich murali, i pytam się obsługi, czy dobrze trafiłam. Pracująca tam dziewczyna pokazuje mi, że mam iść za nią, ale nagle zatrzymuje się i mówi, że muralu nie zobaczę. Wejście do ogródka, z którego widoczne jest malowidło, jest zamknięte i zastawione stolikiem, przy którym siedzą i rozmawiają goście kawiarni. Kelnerka nie chce im przeszkadzać, dlatego radzi mi, żebym wróciła za jakiś czas, kiedy klienci skończą jedzenie i zwolnią stolik. Wtedy będzie mogła mi pokazać mural. Z kawiarni wychodzę trochę rozczarowana. Nie udało mi się zobaczyć grafiki Marii Szulc na żywo i muszę się zadowolić zdjęciem malowidła, a właściwie jego fragmentu, które znajduję na fanpage'u TYPO Poznań. Liście monstery dziurawej i bananowca (chyba, bo

nie znam się na roślinach) wyrastają z lewej strony ściany i pną się w górę, w stronę słońca, walcząc o porcję światła dla siebie. Na przystanek wracam ulicą Szewską, gdzie - zanim pojedę dalej - robię jeszcze jeden przystanek. Wchodzę w podwórze pod numerem 16, żeby zobaczyć pracę Magdy Marcinkiewicz - trzy niebieskookie kobiety. Jedna z nich - ta na ścianie po prawej stronie, wyłaniająca się zza składowanych na podwórzu sztalug, wykonuje gest kadrowania. Pozostałe dwie próbują czegoś dostrzec, zobaczyć bliżej i wyraźniej. Idę w ich kierunku i zatrzymuję się dopiero w miejscu, które pozwala mi przybrać ich perspektywę i patrzeć tam, gdzie one. Stoję obok nich dobre kilka minut, ale kiedy jakaś kobieta wychodzi z galerii obok, stwierdzam, że wyglądam dziwnie i idę dalej.

Na ul. Estkowskiego, przy ul. Szyperskiej, znajduję dwa murale. Arleta Kolasińska mówiła o tym, że malowidła na Śródcie powstały, aby odświeżyć zniszczone, brudne i brzydkie ściany kamienic. W przypadku muralu „Rasizm” autorstwa Grzegorza Myćki, doktoranta Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, było inaczej. Najpierw pojawił się projekt, a dopiero później, po nagłośnionych w Internecie poszukiwaniach, znalazła się ściana. (Podobnie było z murem obok, tym z wierszem Barańczaka, ale o nim opowiem kiedy indziej). Wszystko zaczęło się rok temu, kiedy Myćka z ramienia UAP-u podjął współpracę z miastem i wziął udział w akcji „Poznań bez nienawiści”. Wspólnie z dziećmi i młodzieżą usuwał wtedy hejterskie hasła na murach przy przystanku PST Kurpińskiego, aby później zastąpić je kolorowym napisem „Tolerancja”. Efekt końcowy spodobał się na tyle, że poproszono Myćkę o zaprojektowanie muralu. Tak powstał „Rasizm”, który przedstawia czarnego psa, przerażonego swoim białym odbiciem w lustrze. – *Nietolerancja często wynika z niewiedzy. Obraz uwieczniony na muralu wzbudza przemyślenia na temat inności - tego, jak ją rozumiemy oraz jak na nią reagujemy* - tłumaczy Grzegorz Myćka dla portalu poznan.pl. Projekt poznańskiego artysty zdobył kilka wyróżnień, nagrodzono go m.in. na 12. Międzynarodowym Triennale Plakatu w Toyamie w Japonii, gdzie praca zdobyła brązowy medal. Myćka nadal udziela się społecznie i uczy tolerancji. Na początku tego roku przeprowadził warsztaty antydyskryminacyjne dla uczniów z XII LO. Nastolatkom i Myćce udało się stworzyć 60-metrowe malowidło, które opowiada o symbiotycznej relacji człowieka ze zwierzętami. Pracę można znaleźć przy przejściu podziemnym na ul. Ku Cytadeli.

Następny przystanek: Nowowiejskiego, a tam praca Mauro Pallotty. Włoski artysta przyjechał do Poznania na zaproszenie radnych miasta. Podczas pierwszej wizyty w stolicy Wielkopolski szukał inspiracji - spacerował po mieście i obserwował poznaniaków. Drugi raz powrócił na Festiwal Malta,

już z gotowym projektem muralu. O Maupalu (pod tym pseudonimem tworzy Włoch) zrobiło się głośno kilka lat temu, kiedy służby miejskie Watykanu zniszczyły jego pracę, która przedstawiała papieża Franciszka grającego w „kółko i krzyżyk”. Następca św. Piotra stał na drabinie, a w rękę trzymał wielki pędzel, którym kółka przemalowywał w pacyfki. Do poznańskiego projektu Włoch podszedł bardzo poważnie. W wywiadach mówił, że to jego największa realizacja w życiu, że nigdy wcześniej nie malował na tak dużych ścianach. Mural na Nowowiejskiego to młoda kobieta na biało-czerwonym tle. Jeśli przyjrzeć się bliżej, to widać, że tło to dwa materiały w barwach narodowych, które bohaterka malowidła próbuje zszyć żółtą, cienką nitką. W rozmowie z PAP artysta przyznaje, że *chciał przede wszystkim podkreślić w tym obrazie moment kryzysu, tej takiej niepewności społecznej w Polsce*. Więcej wskazówek nie dał i interpretację pozostawił poznaniakom.

Dwóch kolejnych murali nie znajdę w przewodniku „Z bliska / Z daleka”. Mapa pojawiła się na początku września, a od tego czasu na murach pojawiły się nowe malowidła - „Mały Książę” na ul. Ogrodowej i „Konstytucja” na ul. 27 Grudnia. „Konstytucję” widzę z okna tramwaju. Mural to odwzorowanie plakatu, który był symbolem protestów w obronie wolnych sądów. Zastąpił banner, który wisiał na budynku Arkadii od strony pl. Wolności. Pieniądze na jego realizację zebrano na portalu zrzutka.pl. Żeby zobaczyć „Małego Księcia” muszę wysiąść z 17 i cofnąć się na ul. Święty Marcin, a potem przejść przez Piekary. Mural znajduje się na kamienicy na ul. Ogrodowej 5. Powstał z inicjatywy Stowarzyszenia na Rzecz Osób Niepełnosprawnych „Otwarte drzwi”, a jego twórcami są artysta Sławomir Wrembel i uczniowie Niepublicznej Szkoły Podstawowej „Otwarte drzwi”. Projekt brał udział w konkursie „Niepełnosprawni siłacze”, organizowanym przez firmę Aquanet, i wygrał go. Pozwoliło to na sfinansowanie jego realizacji.

Na Ogrodowej kończę mój spacer. Oszacowałam, że w Poznaniu mogłabym znaleźć ok. 60 wielkoformatowych malowideł. Do tego doliczyć musiałabym jeszcze murale tymczasowe, spełniające funkcje komercyjno-reklamowe, np. takie jak ten przy przystanku Kórnicka. Skąd ta popularność murali w naszym mieście? – *Wydaje mi się, że popularność murali czy ogólnie street artu nie dotyczy tylko Poznania, ale także większych miast Polski i Europy. Murale to z jednej strony świetny sposób na wypromowanie miejsca, dzielnicy czy miasta – przykładem może być trójwymiarowy projekt ze Śródky. Z drugiej są ciekawą formą komentowania otaczającej rzeczywistości, bo wszystkie prace należy zawsze czytać w kontekście miejsca* – tłumaczy mi Tomasz Bombrych.



Do powrotu potrzebowałem przede wszystkim chęci muzycznych.

Fot. własne archiwum

„Teraz liczy się tylko muzyka”

Marcin Czubała wraca w nowej odsłonie

▼
Tekst: Marcin Moj

Kto pierwszy wydał w Polsce winyl po '89 roku? Dlaczego muzycy klepią kotlety i nabijają kapustę? Co sprawiło, że powrócił na scenę? O podejściu do muzyki i nowej perspektywie porozmawiałem z weteranem polskiej elektroniki – Marcinem Czubałą, który wraca z nowym materiałem sygnowanym intrygującym pseudonimem „Jbel Ayachi”.

Cofnijmy się do czasów, w których mnie jeszcze nie było na świecie, a Ty stawiałeś pierwsze kroki na muzycznej ścieżce. Wszystko zaczęło się od szkoły muzycznej?

Tak. Podstawówka była szkołą muzyczną, potem robiłem normalne liceum, a na końcu edukacji zawędrowałem na rok na reżyserie dźwięku na UAM. To był wtedy dosyć pionierski kierunek, ale ja pracowałem już w *Muzyku* (czasopismo muzyczne, przyp. red.), zawodowo zajmowałem się pisaniem i kwestiami produkcji, a poziom tego kierunku był dość podstawowy – tyle, jeśli chodzi o moją muzyczną edukację.

Jak w takim razie zdefiniowałbyś swoje muzyczne korzenie?

Zdecydowanie klasyka, czasy szkoły podstawowej. Zagrałem wtedy około 300 koncertów, przez dwa lata występowałem w Teatrze Wielkim, a w okolicach szóstej klasy robiłem podchody do kompozycji – naprawdę dużo rzeczy się wtedy działo. To, co robiłem, oscylowało wokół muzyki klasycznej, ale to bardzo szerokie pojęcie. Ona ma dzisiaj tak rozbudowane formy, że trudno to wszystko kategoryzować. Z jednej strony możemy mówić o tym, że jest to muzyka klasyczna, a z drugiej to samo brzmienie

może być dla innego ucha muzyką eksperymentalną. Natomiast wszystko było osadzone w klasycznym instrumentarium i jeśli spojrzymy na to przez pryzmat instrumentów, to nie miało to nic wspólnego z elektroniką.

Co takiego było w muzyce techno, że postanowiłeś tak mocno skrócić w jej kierunku?

Dwie sprawy. Po pierwsze, to było totalnie świeże. Czegoś takiego w obecnych czasach już nie zaznamy. To była nowa forma muzyczna. W tej chwili nie możemy powiedzieć, że powstaje jakiś nowy gatunek.

Uważasz, że nie wymyślimy już nic nowego?

Wszystko, co w tej chwili powstaje, jest jakimś mixem, mirażem, połączeniem innych form, które do tej pory istniały. W latach 90. techno było absolutnie nowym gatunkiem muzycznym. Druga sprawa to subkultura i aspekt czysto społeczny. To był totalny odlot. Ludzie przychodzili na imprezę z odkurzaczami na plecach, maskami gazowymi na twarzach. Myślę, że jedynym słusznym porównaniem będzie porównanie do punk rocka. Tylko że tutaj była trochę inna zajawka. Ta technologia odgrywała dużą rolę, a imprezy, zamiast kończyć się zgonem alkoholowym o północy, trwały do 6. nad ranem.

Tak Cię to techno wciągnęło, że jeszcze przed dwutysięcznym rokiem założyłeś pierwszy label, który wydawał winyle. Jak to wyglądało w tamtych czasach?

To było trudne pod każdym względem. Na poziomie urzędowym wydanie winyli było uważane za coś, co nie powinno się już wydarzyć. Nie było tłoczni. Nie było Unii Europejskiej. Procedury skarbowo-celne to był jakiś dramat. Przypomnę tylko, że zakładanie firmy w tamtych czasach trwało 3 miesiące, więc temat tłoczenia płyt za granicą, przywożenia ich do Polski i eksportowania z powrotem za granicę był wielkim wyzwaniem dla urzędów. To był rok 1998 i pierwsza produkcja polskiej płyty winylowej po roku '89. Pamiętam, że niedługo po mnie startował Asphalt i oni wydawali jako drudzy.

W takim razie możemy uznać, że odcisnąłeś swój stempel na kartach historii polskiej muzyki.

Z perspektywy czasu to był pionierski ruch, ale wtedy nie myśleliśmy o tym w tych kategoriach. Żyliśmy w środowisku europejsko-amerykańskim. Techno istniało tylko na czarnym krążku i dla nas był to jedyny kierunek. Nikt nie przesiadywał z encyklopedią i nie sprawdzał, czy w Polsce ktoś już wyprodukował winyl. (śmiech)

Wracasz jeszcze czasami do tych wspomnień, w których dowiadujesz się, że John Peel w BBC gra Twoją muzykę?

Akurat nie miałem okazji słuchać tej audycji. Mój ojciec wydawał wtedy swoją gazetę, jakiś czytelnik napisał list do redakcji o tym, że w audycji Johna Peela leciał mój kawałek. Ciężko było mi w to uwierzyć, bo to była postać legendarna. Totalna wyrocznia, która dla wielu ludzi była furtką do nowych brzmień. Jak jesteś na początku kariery, to każde takie wydarzenie ma dla Ciebie kolosalny rozmiar. Świat muzyki był dużo mniejszy, ale możliwości technologiczne mocno ograniczone. Kontaktowaliśmy się listami albo faxem. Jak się dowiedziałem, że przyszedł fax od Sonic Grove (wytwórnia muzyczna, przyp. red.) i przeczytałem, że chcą 50 moich płyt do swojego sklepu, to była to dla mnie jakaś totalna abstrakcja. W tej chwili ciężko nawet wytłumaczyć młodszemu pokoleniu jakie „wow” to dla nas było.

Potem były lata dwutysięczne. Pierwsze dziesięciolecie było dla Ciebie

bardzo płodne. Masa EPek, koncertów. W kolejnym dziesięcioleciu było Cię coraz mniej, coraz mniej, aż zrobiło się kilka lat przerwy od wydania czegokolwiek. Opowiesz trochę o okolicznościach tego odsunięcia się na bok?

Na pewno trzeba tutaj wziąć pod uwagę mój wiek. Aktywnie działałem na scenie 17 lat. Przez pewien okres grałem od czasu do czasu, przez pewien non stop. Krótko mówiąc, doświadczyłem zawodowego wypalenia. Oprócz grania, cały czas coś produkowałem. Przyszedł czas, że trzeba było sobie trochę odpuścić, ale to nawet nie było na takiej zasadzie, że kończę, tylko że prostu luzuje. No i zluzowałem. Nie chcę już wracać do tej intensywności sprzed dziesięciu lat. Do powrotu potrzebowałem przede wszystkim chęci muzycznych. Poza tym, wpisałem się trochę w taki moment, w którym muzyka elektroniczna zaczęła działać jak fabryka.

To akurat się nie zmieniło.

Tę maszynierię jeszcze lepiej widać z boku. To, co robią niektórzy artyści to klepanie kotletów. Wydają płyty tylko po to, żeby uczestniczyć w rynku. Nabijanie kapusty. Nie chciałem w tym uczestniczyć.

Czym wypełniłeś pustkę, będąc na muzycznym urlopie?

W 2013 roku otworzyłem pierwszą knajpę i ona zaangażowała mnie nawet za bardzo. Jak pojawia się coś nowego, zawsze czuje zdwojoną energię. Od Yeżyce Kuchnia zaczęła się moja przygoda z gastro. Potem pootwieraliśmy kolejne miejsca, firma się rozwijała. Teraz traktuje muzykę jak hobby. Wracam, żeby go nie zatracić.

Może to gastro już Cię tak wymęczyło, że traktujesz muzykę jak odskocznię?

Gastro to już mnie zmęczyło po pierwszym roku. (śmiech) Ja muzykę produkowałem cały czas. Część rzeczy na nowy projekt powstały dwa lata temu. Ja po prostu nie widziałem sensu, żeby wydawać. Dopiero jak dostrzegłem jakiś całokształt mojego projektu, to z nim ruszyłem.

Takim punktem zwrotnym były dla Ciebie góry? W końcu zamieniłeś

Marcina Czubale na Jbel Ayachi, czyli masyw górski znajdujący się w Maroku. To inspiracja wywołana podróżą?

Tutaj główną rolę odgrywa aspekt emocjonalny. Nie wspinałem się po górach, ale są dla mnie fascynujące od dziecka. Dają dużo do myślenia. Nie-samowite jest to, że ludzie podejmują się górskich wypraw. Jeśli chodzi o nazwę, to szukałem właśnie czegoś w tematyce górskiej. Od razu odrzuciłem wszelkie polskie nazewnictwo, żeby uniknąć porównania do zespołu RYSY. Akurat jak byłem w Maroku, to eksplorowałem tereny Jbel Ayachi i stwierdziłem, że pójdę w tym kierunku. Bez dorabiania jakichś większych ideologii, po prostu tak się złożyło.

Nawiązując do tytułu Twojej pierwszej epki pod nowym pseudonimem. Czego początkiem i końcem są góry?

Zależy od tego, na jakim etapie życia się znajdujesz. Są ludzie, którzy idą tam dla adrenaliny. Dla nich początkiem jest podjęcie walki, a końcem coś, czego nigdy nie są w stanie przewidzieć, bo śmierć jest tam zawsze wkalkulowana. Wielu chorych chodzi w góry w poszukiwaniu zdrowia, motywacji. Mi chodzi o ten całokształt. O to wyruszenie na walkę z samym sobą.

Pierwsza krótka recenzja tego, co wypuściłeś do sieci jako Jbel Ayachi, przedstawiała Cię jeszcze jako artystę niezidentyfikowanego. Myślałeś nad tym, żeby całkowicie oddzielić Marcina Czubale od Jbel Ayachi?

Taki był plan, ale to jest po prostu niemożliwe. Nie da się. Przez tyle lat funkcjonowania na scenie nie ma takiej opcji. Mam tyle kontaktów, że musiałbym mieć osobę, która by za mnie ogarniała sprawy z dystrybutorami, tłocznią itp.. To odebrałoby mi cały luz, na którym mi zależało.

A pojawiły się jakieś obawy z drugiej strony? Nowy projekt trochę zrywa z Twoją marką na scenie. Nie zastanawiałeś się nad tym czy przez to nie przejdzie za bardzo obok?

Ani przez moment. Decyzja była prosta dlatego, że podchodzę do tego na pełnym luzie. Ja nic nie muszę. Po prostu kontynuuję moje hobby, którym kiedyś też zarabiałem na chleb. Teraz liczy się tylko muzyka.

Techno wtedy było totalnie świeże. Czegoś takiego w obecnych czasach już nie zaznamy.

Granice – słowo klucz w dzisiejszym świecie

NIETONIE

▼
Tekst: Malika Ledeman

Są tematy, które choć delikatne, wymagają, by mówić o nich pełnym głosem. Są sytuacje, które choć pozornie nieszkodliwe, wymagają interwencji i przyjęcia aktywnej postawy. Czas powiedzieć: „Nie” to “nie”! Każdy z nas ma prawo do tego, by czuć się bezpiecznie bez względu na miejsce. Również w klubie.

W dobie kosmopolityzmu, to granica poczucia własnego komfortu jest jedyną, która naprawdę obowiązuje... i zobowiązuje. Dbajmy o nią i nie dajmy przekraczać jej bez pozwolenia! Stop przemocy seksualnej, nieprzyzwoitym żartom, niechcianym aluzjom i nachalnym spojrzeniom. Przyszedł czas, by przestać się bać mówić o własnych obawach, a w kontekście molestowania seksualnego nie dać sobie wmówić, że będąc ofiarą, jesteśmy czemuś winni.

Nie każdy jednak ma tyle odwagi, by odkryć karty własnych doświadczeń. Nierzadko boimy się rozmawiać, wyrażać emocje i dbać o swój komfort psychiczno-fizyczny. Na stronie poznańskiej kampanii społecznej NIETONIE napisano wyraźnie - „Nie, to nie będzie tu tolerowane”. Organizatorzy przypominają, że wbrew temu, co sądzi wielu agresorów, odmowa i słowo “nie” to nie forma flirtu lub podrywu, udawanie niedostępnej czy niedostępnego. “Nie” znaczy “nie”. Zawsze.

Ciemność w klubie? Jasność umysłu!

Klub to miejsce jak każde inne. Tak samo, jak w parku, tramwaju i ośrodku kultury, mamy pełne prawo do tego, by czuć się bezpiecznie pod osłoną nocy. To, że imprezie towarzyszy przygaszone światło, a więc nie wszystko widać, nie usprawiedliwia nachalnych zachowań, które zakłócają czyjeś poczucie bezpieczeństwa. Czy właściciele poznańskich lokali dbają o to, by wszyscy bawili się u nich znakomicie?

Nazwa „Schron” zdaje się mówić sama za siebie. Na spotkaniach prasowych przedstawiciele lokalu mówią jasno, że bezpieczeństwo klubowiczów stanowi dla nich priorytet. Jak wspomina współwłaścicielka Schro-

nu, Aleksandra Sudolska: – *Ludziom często wydaje się, że ruchy, na które pozwalają sobie względem drugiej osoby - np. wulgarne komentowanie wyglądu - są całkowicie niewinne, bo wcześniej nie spotkali się z wyraźnym sprzeciwem. Można powiedzieć, że żyją w swojej własnej kulturze czy społeczeństwie, gdzie jest na coś takiego przyzwolenie. Ważne jest, żeby każdorazowo zwracać im uwagę, że wbrew temu, co myślą - to, co robią, wcale nie jest okej!*

Nauka elementarnych zasad

Edukacja jest kluczowa, dlatego powinna być dostępna i przekazana w przystępny sposób. Organizatorzy akcji nie pozostawiają nikogo bez pomocy. Każdy, o dowolnej porze dnia i nocy, może skorzystać z bezpłatnego Punktu Interwencji Kryzysowej, w momencie, gdy poczuje, że mógł paść ofiarą przemocy seksualnej. Słowna pomoc to nie wszystko. W trzech miejscach w Poznaniu dostępne są również warsztaty z samoobrony. Możesz się na nie zapisać już dziś. Informacje o akcji i formach pomocy znajdują się na oficjalnej stronie - www.nietonie.com.

Wobec przemocy seksualnej nie pozostaje też obojętny Projekt LAB. Już w ubiegłym roku w eksperymentalnej przestrzeni muzycznej pojawiły się grafiki „Peace, LAB & Love” przypominające o elementarnych zasadach kultury klubowej i międzyludzkiej. Nie ma w nich miejsca na jakąkolwiek przemoc – ani słowną, ani fizyczną. Właściciele lokalu przypominają, że kultura klubowa powstała z miłości i szacunku, i właśnie takie wartości powinny przyświecać zabawie. Następnym krokiem LAB-u było nawiązanie współpracy z kolektywem Oramics, który czynnie walczy z takimi zachowaniami. Labowy team doskonale zna akcję „Nie znaczy nie”, stale obserwuje zachowanie ludzi na sali i dba o ich komfort. Pracujący tam Mariusz i Mateusz podkreślają, jak ważna jest prewencja – problemom najlepiej zapobiegać. Pamiętajcie więc: jeśli czujecie się zagrożeni lub widzicie coś niepokojącego, nie bójcie się od razu zgłosić tego obsłudze!

Bo NIETONIE. Dbajmy o własne granice.

„Droga, którą sobie obraliśmy na pewno jest trudniejsza”

Wywiad z MYTUJEMY

▼
Tekst: Nicole Piotrowska



Fot. Agata Anastazja Niedźwiadek

Nic co pyszne, nie jest im obce. Tym razem jednak nie o jedzeniu, a o podejmowaniu słusznych wyborów, hejcie w Internecie i byciu rozpoznawalnym opowiedzieli Magda Stanek oraz Mateusz Spurtacz – autorzy projektu MYTUJEMY. Smacznego!

Jak tak naprawdę wygląda podział lokali w Poznaniu? Można obrać sztywne ramy?

Mateusz: Wiadomo, że są w Poznaniu restauracje, które będą dobre dla wszystkich.

Magda: Suszone Pomidory są knajpą, na którą nikt nie podniesie ręki, ponieważ na rynku działają już od lat. Nawet gdy zdarzają im się pewne wpadki, to sobie z nimi poradzą, a zazwyczaj reprezentują sobą naprawdę wysoki poziom. Są również restauracje, wokół których skupia się naprawdę sporo kontrowersji.

Mateusz: Moda na chodzenie do restauracji w Poznaniu cały czas mocno rączkuje. Ludzie się nastawiają, że idąc do knajpy, każda z nich będzie prezentować taki sam poziom. Warto przed odwiedzinami zapoznać się z tym, jaki profil ma dane miejsce. Są takie, które powstają tylko po to, by spotkać się ze znajomymi przed imprezą – przegryźć coś, napić się dobrego drinka.

Magda: Nie wszędzie wybieramy się, by doznać wrażeń kulinarnych ponad normę.

Na Waszym blogu nie brakuje zestawień tematycznych, w których polecacie miejsca na przeróżne okazje. W ciągu ostatnich miesięcy na tapecie maglowany jest wątek restauracji, w których dzieci, mówiąc wprost, nie są mile widziane. Jak się odnosicie do całej tej sytuacji? Nie da się ukryć, że zrobiła się z tego konkretna burda, a wydaje mi się, że w ślad za Pappero i Suszonymi Pomidorami wkrótce pójdzie kilka innych miejsc.

Mateusz: Nagonka wzięła się tak naprawdę stąd, że cała sytuacja miała miejsce w Poznaniu. To samo dzieje się w Warszawie i nikt nie ma problemu z tym, że najmłodszy gość w lokalu będzie miał 14 lub 18 lat. Poznań pod tym względem musi się jeszcze wiele nauczyć. Nie umiemy reagować na tego typu nowości i podchodzimy do nich ze sporą dozą hejtu i zażenowania, traktując to jako ograniczenie naszych wolności i praw. Tak naprawdę najczęściej hałasu wokół tego wydarzenia robią osoby, które w danej restauracji nigdy się nie pojawiły.

Magda: Oboje od kilku ładnych lat pracujemy w mediach społecznościowych i mamy wrażenie – a przynajmniej ja w ostatnim czasie – że Internet stał się obrzydliwym miejscem, w którym ludzie zachowują się okropnie i nie darzą się wzajemnie żadnym szacunkiem. Wylewamy z siebie negatywne emocje, obrażamy. Ludzie się za bardzo nakręcili.

Mateusz: Narzucając komuś swoje zdanie wywołujesz pewną reakcję. Oglądałem kiedyś świetny wywiad z Agatą Kuleszą, która poruszyła w nim temat hejterów. Jeden z nich nazwał ją *żydowską k*****, a równie dobrze innego dnia mógłby do niej podejść i poprosić o autograf dla syna. W sieci po prostu jesteś kimś innym. Wracając do tematu – nasze stanowisko jest takie, że każda restauracja ma prawo dokonać wyboru. Jeśli już na etapie wyboru miejsca pojawiają się przesłanki, że nie ma w nim nic skierowanego bezpośrednio do dzieci, ale są za to mocne alkohole, przychodzą głównie dorośli ludzie, to podejźmy do sprawy racjonalnie.

Magda: W ogóle warto zwrócić uwagę na to, że kluczem do konsumowania jakichkolwiek treści jest subiektywizm. Prezentujemy inny content, chodzimy w inne miejsca niż osoby, które mają dzieci. W taki sam sposób staram się sama podchodzić do różnych rzeczy – próbuję się wejść w buty danej osoby, pomyśleć czym ona się kieruje.

Zaczynaliście pracując wspólnie, teraz sytuacja wygląda nieco inaczej. Jak łączycie codzienne obowiązki z prowadzeniem bloga? Czy MYTUJEMY było dla Was punktem wyjścia do nawiązania nowych kontaktów, również tych biznesowych?

Magda: Jak najbardziej. MYTUJEMY to żywy organizm. Każdy z nas na co dzień opiekuje się dużą marką, oprócz tego pracujemy nad mniejszymi projektami, nad niektórymi działamy wspólnie.

Mateusz: Prowadzimy również szkolenia. To, że siedzimy w różnych biurach nic nie zmienia. Pamiętam, jak kiedyś siedzieliśmy w jednej agencji i rozmawialiśmy na Skypie, bo w grę nie wchodziło prowadzenie głośnych rozmów z open space. Nie chcieliśmy też, aby wszyscy słyszeli o czym sobie rozmawiamy. Na pewnym etapie może komuś przeszkadzać, że siedzisz w pracy i zajmujesz się czymś innym.

Magda: Dokładnie. To jest kolejna kwestia, z której zdajemy sobie sprawę – gdybyśmy zamiast pracować na etat, poświęcili więcej czasu na rozwój bloga, to na pewno bylibyśmy teraz w innym miejscu. Tylko że na ten moment,



z różnych względów, wybraliśmy inną drogę. Niezwykle doceniamy to, że mamy na co dzień możliwość siedzenia w fajnych biurach, stanowimy część organizacji, mamy stabilność finansową i się rozwijamy.

I jesteście ciągle w pewnym rytmie.

Magda: Dokładnie! A mimo to wciąż nie mamy czasu i wiemy, że byłoby nam trudno z tego zrezygnować. Tu chodzi o komfort życiowy. Przez pewien czas oboje byliśmy freelancerami i wiemy, że to nie wygląda tak jak na Instagramie. Freelance to ciężka praca i duża samotność - oczywiście, znajdują się osoby, dla których to wymarzony model kariery. U nas się nie sprawdziło.

Mateusz: Jeśli chcesz być freelancerem, musisz mieć wszystko wewnętrznie przepracowane i nie możesz uzależniać swojego humoru od tego, ile masz aktualnie pracy. Angażując się w różne projekty podejmujesz ryzyko - ryzyko, że ktoś będzie niezadowolony, że nie zapłaci ci faktury.

Magda: Brzmimy teraz trochę, jakbyśmy byli zmarnowani życiem. (śmiech)

Mateusz: Nie, chcemy po prostu pokazać, że nie wszystko wygląda tak różowo jak na Instagramie.

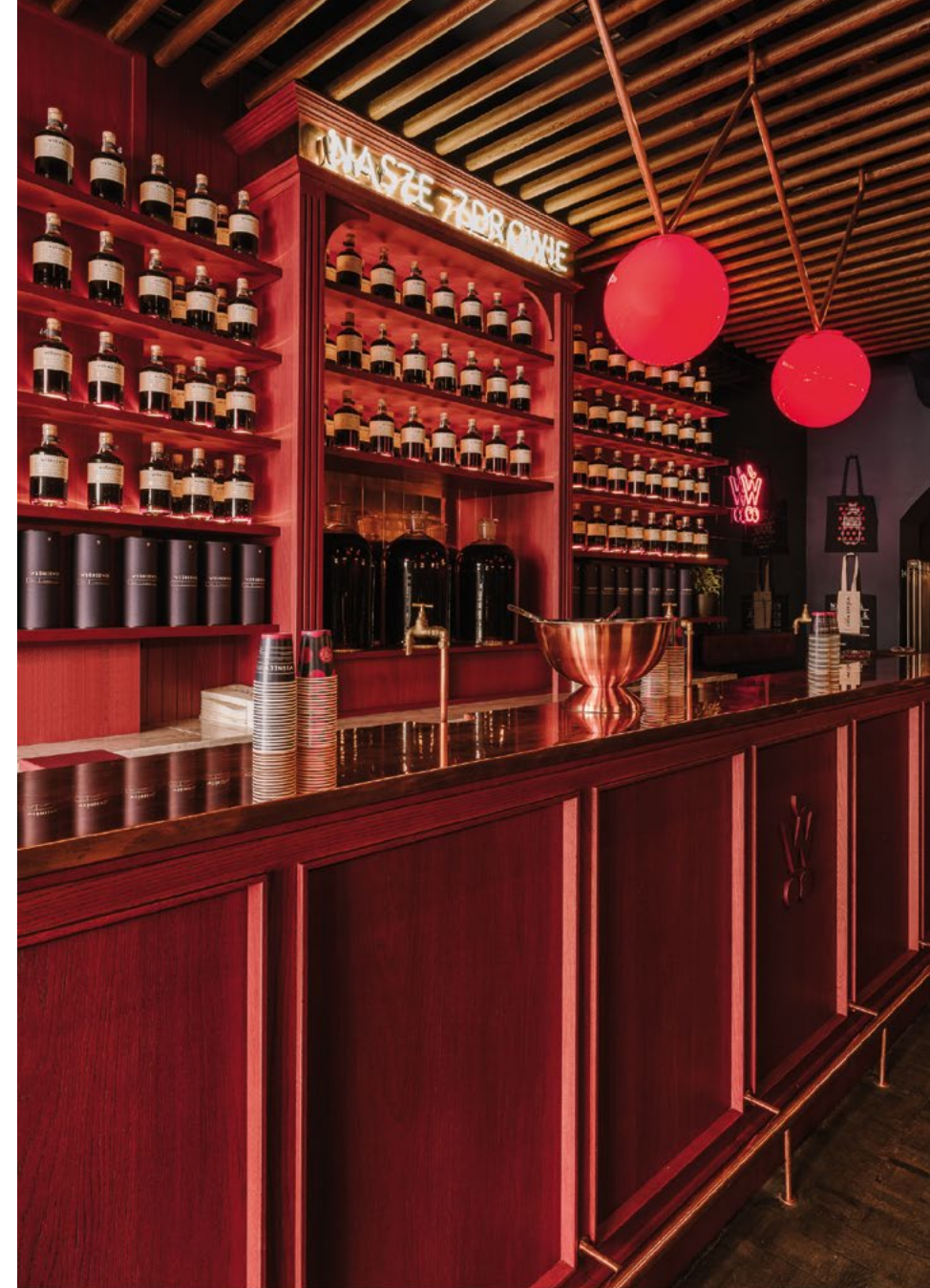
Wszystko co dobre, kiedyś się kończy. Wizualizujecie sobie czasem dzień, w którym MYTUJEMY nie tyle się rozpadnie, co świadomie zakończycie jego istnienie? Stwierdzicie, że pole do działania naturalnie się wyczerpie?

Magda: Szczerze? Chyba nie. Mamy plan na siebie i oboje wierzymy, że nadal możemy bardzo dużo zrobić, chociażby pod kątem bardziej biznesowym, tj. z perspektywy komunikacji w gastronomii. Nie wykluczamy, że projekt zmieni swoją formułę. Zwłaszcza, że media społecznościowe cały czas mocno się rozwijają. Nie wiemy, czy za trzy lata nie będziemy na to wszystko za starzy. (śmiech)

Mateusz: Na razie działamy w konkretnej formule, ale to zazwyczaj los przynosi nowe rzeczy.

Magda: Możemy oczywiście rozpisać plan na następne 10 lat, ale to życie pokaże, co tak naprawdę będzie potrzebne, co ludziom się przyda. Zobaczymy kim się staniemy jako MYTUJEMY. Fajnie, że w tych następnych latach widzimy naszych czytelników, oni się też z nami rozwijają i to jest bardzo motywujące.

Cały wywiad na www.freshmag.pl





„Przepisów na beton jest tyle, co na kawę”

Lastryko – kawiarnia, jakiej nie było

Tekst: Marcin Moj

Renesans ulicy Święty Marcin trwa w najlepsze. La Ruina i Raj, niecodzienny koncept Body Chiefa czy BANCOOK sprowadzają do centrum miasta setki foodiesów. Jest też wiele opcji dla miłośników kawy. Jedną z nich jest świeżo otwarta kawiarnia Lastryko, która trochę wyłamuje się ze swoich kawiarnianych ram.

Lastryko

- *To miejsce to kawiarnia, zarazem nasz showroom. Na co dzień zajmujemy się betonem architektonicznym. Mamy kilka brandów, głównym z nich jest Betonowy Wojtek. Nasze rzemiosło polega na wykonywaniu z betonu dosłownie wszystkiego, również lastryko, czyli głęboko szlifowanego betonu z odsłoniętym kruszywem – mówi Mateusz Błaszyk, założyciel kawiarni. Jednak w Polsce do tego materiału, który dziś (podobnie jak sama ulica Święty Marcin) przechodzi renesans, przylepiona jest latka surowca wykorzystywanego do budowy klatek schodowych czy nagrobków. - W latach 60 Polacy mocno używali tego materiału. To było najtańsze wyjście z możliwych. Lastryko rodem z PRL było mieszaniną cementu i byle jakiego kruszywa. Efekt? Twarda posadzka, która nieciekawie wygląda. To, co zobaczycie u nas to włoskie terrazzo, czyli dużo poważniejsze i eleganckie podejście do tematu, które jest zaprzeczeniem stereotypowych wyobrażeń o lastryko – wyjaśnia Mateusz.*

Dlaczego knajpa?

- *Tutaj przychodzi się na kawę. To miejsce jest żywe. Nie ma tu Pani z kata-*

logiem, która opowiada Ci, jakie piękne rzeczy robimy. Za drzwiami nie stoi hostessa, która wręcza ulotkę i uśmiech na do widzenia. Na zewnątrz jest ulica, która tętni życiem, i do której mamy ogromny sentyment. Kawiarnia jest jej częścią. O to od początku nam chodziło. Żeby ludzie mogli w tej przestrzeni poprzebywać, poczuć ją – tłumaczy właściciel.

Wachlarz betonowych możliwości

Myszę, że największą rekomendacją wyglądu kawiarni Lastryko jest to, że po przekroczeniu progu nikt nie zdaje sobie sprawy, że wszystko w tym miejscu jest zrobione z betonu. Błaty, schody, ściany, przepiękne żyłki na suficie, płytki – to wszystko to nowe spojrzenie na formę, która w naszych głowach utrwaliła się jako duża szara bryła. - *Ta kawiarnia ma pokazywać, że nasi klienci mogą wymyślić wszystko i ogranicza ich tylko wyobraźnia, bo jesteśmy w stanie wykonać wszystko, czego sobie zażyczą. Chcieliśmy stworzyć showroom, który prezentuje inne spojrzenie na nasz ulubiony materiał, a nie robić kolejnej rzeczy, która ludziom kojarzy się z szarym betonem, bo takich niby industrialnych knajp jest już na pęczki. Ten projekt ma pokazywać wachlarz naszych możliwości, bo przepisów na beton jest tyle, co na kawę. O tym pierwszym wiem ja, a o tym drugim Maciej, który jest managerem kawiarni i jak mało kto zna się na kawie.*

Lastryko

- *Poznań, ul. Św. Marcin 41/2*

Koziółki zamienione na miłość, dom i bar na Rybakach

Rozmowa z Zuzanną Kotodziejczyk

▼
Tekst: Malika Ledeman

Hit sezonu? Poznanianka, zwyciężczyni programu Top Model i inspiracja wielu młodych osób twierdzi, że to uśmiech jest obowiązkowym elementem garderoby. Z tak pozytywną osobą trzeba porozmawiać! Odwiedzamy z Zuzą jej ulubione miejsca, sprawdzamy, gdzie zjeść zdrowo żyjąc w biegu, i rozmawiamy o tym, czy potrafimy się ubrać w tej naszej Polsce. Stop, wyluzujmy. Zamiast myśleć stereotypowo nie bójmy się odkryć Poznania na nowo.

Często widać Cię na poznańskich ulicach, a to oznacza, że na dobre wtopiłaś się w miejską tkankę. Musisz lubić to miasto, prawda?

I to jeszcze jak! Tu się urodziłam, wychowałam, to właśnie tu nadal jest mój dom, do którego zawsze chętnie wracam. W Poznaniu chodziłam do szkoły, poznałam swoją miłość, mieszka moja najbliższa rodzina i przyjaciele. Kiedy dłużej mnie nie ma, zwyczajnie zaczynam tęsknić za tym miastem, ze wszystkimi jego zaletami i wadami.

W takim razie trzy słowa, które kojarzą Ci się ze stolicą Wielkopolski?

Jestem stąd, więc nie powiem, że kojarzy mi się z gzikiem, rogalami czy koziółkami. Poznań kojarzy mi się z domem rodzinnym, z dzieciństwem spędzonym z moją siostrą bliźniaczką, z imprezami mojego Artura.

To faktycznie trzy ważne aspekty! A co powiesz o poznańskim jedzeniu?. Mamy tu całkiem niezłe knajpy – nawet dla tak zdrowo zakręconych, jak Ty i ja.

Ostatnio głównie gotujemy w domu, bo złapałam zajawkę, ale oczywiście

ulubionych miejsc mam dość sporo i staram się odwiedzać je w miarę możliwości. Lokale tworzą ludzie i ma to dla mnie spore znaczenie. Numer jeden na mojej liście to Bar Wegetariański na Rybakach, niepozorne miejsce, które prowadzi przemiła pani Teresa. Jest pysznie i domowo - jak u mamy. Polecam szaszłyk z ziemniakami, sosem pieczarkowym i mixem surówek. Kocham! Wśród ulubionych miejsc wymieniałabym jeszcze Wy-pas, Mixture, Fallę, Pho Bar i Tostownię. Jeśli chodzi o pizzerie (choć nie jest tak zdrowa, pizzę darzę bezgraniczną miłością), uwielbiam Tutti Santi, Frontierę i Eatalię.

Wymieniłaś moje roślinne typy! Jak widać, można dbać o siebie i swoje zdrowie żyjąc w zabieganym mieście. A co robisz wieczorami?

Chodzę tam, gdzie gra mój narzeczony, czyli Rubin Robi Raban. Mam wrażenie, że nie muszę ich reklamować. Jego imprezy na Nocnym Targu czy w Próżności zawsze przyciągają tłumy fajnych ludzi. A kiedy mamy wolny wieczór, wybieramy raczej chillout. Lubimy zajrzeć do Meskaliny i Rewirów albo zrobić sobiedługi spacer po mieście i odkrywać nowe miejsca.

Nie wydaje Ci się, że choć wciąż w Poznaniu są takie miejsca, które warto omijać szerokim łukiem, niektóre z dzielnic stały się bezpieczniejsze?

Wychowałam się na Wildzie, lata szkolne spędziłam w centrum Poznania, a od kilku lat mieszkam na Jeźcach. Jasne, zdarzały się niefajne sytuacje, ale one zdarzają się przecież wszędzie. Nie demonizowałabym żadnego



fyrtla. Jeżyce, które są mi teraz najbliższe, rozwijają się w pięknym kierunku. Czuję się tu naprawdę dobrze.

Jako że jesteś związana z modą, muszę Cię zapytać o nasz lokalny styl. Umiemy się tu ubrać czy nie?

Jestem akurat świeżo po tygodniu spędzonym na Venice Beach w Los Angeles. Jeśli mam być szczerą, uważam, że boimy się wychodzić z ogólnie przyjętych ram, boimy się kolorów i oceny innych. To zresztą dotyczy całego kraju. Ubranie jest jednym ze sposobów, którymi możemy wyrazić siebie, swój nastrój, charakter czy nawet poglądy. Moim zdaniem na ulicach przydałoby się trochę więcej fantazji. Mody nie trzeba brać tak zupełnie serio. To tylko ciuchy! Zawsze jutro możesz ubrać coś innego.

Zdecydowanie ważniejsze są uśmiech i szczerść, Twoje znaki rozpoznawcze?. Bez czego jeszcze nie wychodzisz z domu?

Uśmiech to podstawa. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać. Dzięki niemu łatwiej jest funkcjonować między ludźmi, więc zachęcam do jak najczęstszego uśmiechania się. Z domu nie ruszam się bez telefonu i mojego notesu. Pomimo że, tak jak wszyscy, mam notatnik w telefonie, przywiązanie do papieru jest silniejsze. To chyba wszystko, nie jestem gadźeciarą.

Czy dostrzegasz w mieszkańcach Poznania jakąś wadę albo stereotypową, denerwującą cechę charakteru?. Chyba nie wszyscy są tak uśmiechnięci...

Poznaniacy są super, ale uważam, że brakuje nam zwykłej życzliwości i bezinteresownego uśmiechu. To również dotyczy całego kraju. Wszystkim żyłoby się przyjemniej, gdybyśmy odrobinę spuścili z tonu, nie denerwowali się tak szybko, wyluzowali, byli dla siebie bardziej serdeczni. Mieszkamy w jednym miejscu na tej planecie - to dobra podstawa, by czuć ze sobą więź i traktować się bardziej po przyjacielsku, w sposób, w jaki sami chcielibyśmy być traktowani.

Mimo wszystko, zawsze tu wracasz!

Wracam, bo Poznań to moje miasto i zawsze będzie w moim serduchu!

Miejskie legendy

Na stos za popsucie piwa - Czarownica z Chwaliszewa

▼
Tekst: Viola Łechtańska-Błaszczak

Bezimienna czarownica z Chwaliszewa z XVI wieku była pierwszą Polką, która spłonęła na stosie. Najwyższą cenę zapłaciła za rzekome popsucie piwa w sześciu warzelniach. Jak to możliwe? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba dowiedzieć się ciut więcej na temat magii, czarów i paleniu czarownic. Oto pierwszy odcinek cyklu o miejskich legendach i tajemnicach Poznania.

Cofnijmy się w czasie. Mamy rok 1511, a ludzie wierzą w czary. Niewiast zajmujących się magią nie brakuje - jedni się ich boją, inni wierzą, że są w stanie podratować dzięki nim swoje zdrowie lub związki. Wzorcowy portret nowożytnej czarownicy wiąże się z okresem polowań na kobiety parające się czarną magią, „walki ze starszymi kobietami”. Czarownicami były zazwyczaj schorowane i słabe panie, żyjące samotnie i na marginesie życia społecznego. Bezbronne wobec prześladowców, łatwo było obarczyć winą za katastrofę czy kryminalny występki.

By przyznawały się do winy, torturowano je. Palono je na stosie za naklanianie do nierządu, konszachty z diabłem czy – jak wyżej wspomniałam - popsucie piwa. Joanna Adamczyk w publikacji „Czary i magia w praktyce sądów kościelnych na ziemiach polskich w późnym średniowieczu (XV–połowa XVI wieku)” pisze, że spaloną na stosie w 1511 r. staruszkę z Walszewa oskarżono o to, że czarami (maleficia) zniszczyła piwo z browarów. W książce „Podręcznik Poznańczyka albo 250 dowodów wyższości Poznania nad resztą świata” Marcina J. Januskiewicza i Adama Pleskaczyńskiego czytamy, że władze miejskie Chwaliszewa wydały taki wyrok w sprawie „O psucie piwowarom piwa, a kupcom i szynkarzom odbytu

i tym podobne figle”. Znajdujemy tu też informacje, że „niewiasta przyznała się do winy i wkrótce nieopodal szubienicy, na prawym brzegu Warty, na wzgórzu zapłonął pierwszy stos ze skazaną za czary”. W artykule Pawła Cieliczko pt. „Czarownica z Chwaliszewa”, wydrukowanym w magazynie Puls Poznania 6(12)/2016 czytamy, że spalenie czarownicy na stosie było samosądem dokonany przez protestanckich mieszczan. Podobno w obronie kobiety, czy też bardziej przeciwko brutalnej karze, występował ówczesny proboszcz lokalnej parafii katolickiej.

Jedno jest pewne - za zniszczenie sześciu warzelnii piwa, zatrucie okolicznej wody i problemy żołądkowe mieszkańców ktoś musiał odpowiedzieć. Adamczyk przypuszcza, że piwo nie nadawało się do sprzedaży, a „utrata tak ważnego źródła dochodów była tragedią dla wszystkich, którzy czerpali z propinacji korzyści. Z pewnością wybuchła panika i strach przed biedą, a jedyną możliwością rozładowania emocji było ukaranie stosem potencjalnego winnego”. W notatkach na ten temat nie ma wzmianki o tożsamości niewiasty, ani o tym ile miała lat, dlatego dziś jest tylko bezimienną Czarownicą z Chwaliszewa.

Według doniesień książkowych, na przestrzeni wieków w Poznaniu miało spłonąć 40 ofiar polowania na czarownice, a w całym kraju liczbę tę szacuje się na 40-50 tysięcy (źródła historyczne mówią o 10 tysiącach udokumentowanych procesów o czary). Pionierski wyrok został wydany na mocy przywileju Władysława Warneńczyka, który zezwalał na skazywanie osób będących w jurysdykcji miejskiej (później musiało się to zmienić, ale o tym dalej). Aż do roku 1511 można było spokojnie wchodzić w pakt z diabłem, ponieważ łatwo było oczyścić się z absurdalnych zarzutów.

Później uznano, że konszachty z siłami nieczystymi mogą mieć wpływ na sytuacje masowe, takie, jak ta dotycząca zatrucia browaru.

Choć czarownice w Poznaniu i okolicach skazywane były już wcześniej, to nigdy wcześniej na karę śmierci. W 1494 roku skazano Małgorzatę, żonę rybaka, za tworzenie amuletów z ziół i korzeni, czy żonę pasterza z Chraplewa za tropienie złodziei (wskazał na nią kościelny pomówiony o kradzież). W Podręczniku Poznańczyka czytamy o kolejnej niewieście, która miała konszachty z siłami zła. Małgorzata Bilkowska w 1502 roku „postawiona przed sądem kapituły poznańskiej, zdołała skutecznie oczyścić się z absurdalnych zarzutów o czary”. Dla każdej z tych pań sankcja

polegała jedynie na wyrzeczeniu się grzechów i złożeniu uroczystej przysięgi o treści: „Ja, [...], przysięgam, iż odtąd przestrzegać będę przepisów wiary katolickiej wedle nauki świętego Kościoła rzymskiego, w żadne błędy i praktyki zakazane, wierze katolickiej przeciwnie, popaść odtąd nie chcę, w szczególności wyrzekam się i odwołuję wszelkie sztuki czarodziejskie i guślarskie, którymi się za podszeptem szatana zajmowałam. Przysięgam i obiecuję, że ani sama, ani za pośrednictwem innej osoby nimi zajmować się nie będę, pod karą określoną w ustawie na tych, którzy ponownie w błędy swe popadają. Wreszcie pokutę, jak będzie mi naznaczona, wedle sił moich wykonać się będę starała i wykonam. Tak mi dopomóż Bóg i obraz Chrystusa ukrzyżowanego”. - Paweł Cieliczko, „Czarownica z Chwaliszewa”, Puls Poznania, 6(12)/2016.

Najwyższą karę kobiety w Poznaniu zaczęły płacić po wydarzeniu z Chwaliszewa. Wówczas sędziowie coraz chętniej oskarżali niewiasty o pakt z diabłami lub relacje z siłami nieczystymi. 20 czerwca 1544 roku spłonęła Dorota Gniećkowa za to, że lejąc воск na wodę, wróżyła innej kobiecie. Na wildeckim stosie zginęła 6 listopada 1645 roku Regina Boroszka za to,

że uprawiała seks z diabłami. Uboga Anna Chociszewska została ścięta w 1582 roku przed ratuszem za naklanianie do nierządu.

Mimo oddania w 1543 roku przez sejm sądów o czary pod trybunały kościelne, polowanie na czarownice nadal trwało. Dopiero w XVII wieku Wojciech Regulus, profesor przykatedralnej Akademii Lubrańskiego, wydał w Poznaniu dzieło „Czarownica powołana albo krótka przestroga ze strony czarownic”, w której potępiał praktykę wymuszania na kobietach zeznań torturami. O ludziach stosujących te praktyki pisał: „Ani mi takich sędziami nie nazywaj, nie sędziowie, ale okrutni rozbójnicy, nie ludzie, ale bestie rozjuszone na miejscu sądowym osadzone, nie sądzą, ale okrutnie pa-

nują” (cyt. za Puls Poznania). Czarownice w naszym kraju palono aż do 1811 roku.

W 2011 roku odbyła się na Chwaliszewie inscenizacja procesu i spalenia pierwszej w Polsce czarownicy, której pomysłodawcą był Oleksy Artyshuk, przewodnik miejski. Ewa Łowżył, założycielka KontenerArt nie ustaje w działaniach, by na Chwaliszewie stanął pomnik czarownicy. Piotr Cieliczko w Pulsie Poznania pisze, że jako przedstawicielka miejskiej społeczności zwró-

ciła się do prezydenta Poznania o symboliczne ulaskawienie bezimiennej kobiety, a prezydent wstępnie zgodził się na taki gest. - *Od trzech lat koncertujemy z Chórem Czarownic i śpiewamy m.in. o tym wydarzeniu. Najbliższy koncert w Poznaniu odbędzie się wiosną 2020 roku. Późną jesienią wchodzimy do studia nagrywać płytę.* – mówi nam Ewa Łowżył. Obecnie trwa zbiórka na ten cel na www.zrzutka.pl - zebrano już połowę potrzebnej kwoty.

Prezydent Słupska Robert Biedroń uhonorował Trinę Papisten, spaloną na słupskim stosie w 1701 roku, nazywając jej imieniem jedno z miejskich rond.





Fot. Garczyn

Ale Kino!

Festiwal o młodszej energii

Tekst: Magda Chomczyk

Co roku w Poznaniu czas mikołajkowy spędzamy w kinie. Zabieramy ze sobą przyjaciół, sympatie, dzieci i dziadków, by udać się w filmową podróż pod znakiem festiwalu Ale Kino!. Tegoroczna, 37. edycja festiwalu odbędzie się między 1 a 8 grudnia w Multikinie 51, Kinie Pałacowym oraz na Scenie Wspólnej.

Festiwal *Ale Kino!* zawitał do Poznania 56 lat temu i przez ten czas na dobre rozgościł się w stolicy Wielkopolski. Zaczynał jako Przegląd Filmów Animowanych i Dziecięcych, a 1994 roku przerodził się w Międzynarodowy Festiwal Filmów Młodego Widza. Obecnie jest najstarszym festiwalem filmowym w Poznaniu i drugim najdłuższym wydarzeniem dla młodego widza w Europie.

O Złotego Koziołka

Głównym punktem programowym są pokazy konkursowe. Tak jak w zeszłych latach, na ekranie zobaczymy ponad 200 filmów ze stu krajów, od rodzimych produkcji po kino koreańskie, filmy dla dzieci i te skierowane do pełnoletniego widza, krótkie metraże oraz pełnometrażowe propozycje, dramaty rodzinne, jak i trzymające w napięciu kino akcji.

- Jak na każdym festiwalu, tak i tutaj widać trendy panujące w świecie filmu, na przykład temat siły kobiet czy – jak w tym przypadku – dziewczyniek. Bohaterki filmów radzą sobie w trudnych życiowych sytuacjach i walczą o swoje, czasem w metaforyczny sposób, np. uprawiając sporty walki. Dużo filmów dotyczy kwestii społecznych aktualnych w 2019 roku – nowych technologii, oddalania się od siebie i rozpadu rodziny – mówi Karolina Kulig, rzeczniczka prasowa festiwalu. Sporo propozycji było pokazywanych na innych festiwalach. I tak, wśród filmów konkursowych znajdziemy „Młodego Ahmeda” w reżyserii Jean-Pierre’a i Luca Dardenne, którzy otrzymali Złotą Palmę na festiwalu w Cannes, „Niezwykłe lato z Tess” wyświetlane na Berlinale, „Cały świat Romy”, który podbił objazdowe Kino Dzieci, a także nagrodzoną studenckim Oscarem animację „Córka” i „Kickboksę” – laureata Europejskiej Nagrody Filmowej.

Filmy prezentowane na festiwalu w dużej mierze zostaną pokazane w Polsce po raz pierwszy. I niech Was nie zmylą ich młodzi bohaterowie! Problemy, z którymi się zmagają, wymagają od nich niezwyklej dojrzałości. Za jednostkowymi historiami kryją się próby zrozumienia różnic kulturowych i pokoleniowych. Twórcy przybliżają nam problemy, z jakimi mierzą się osoby wyróżniające się w swoim otoczeniu, walczące o zdrowie czy

zmuszone radzić sobie z nieprzychylnym systemem. Dla wprawionych kinomanów znajdą się w programie takie smaczki jak ponad 3-godzinne azjatyckie filmy artystyczne. Szczegóły zostaną ogłoszone 8 listopada.

Każdy ma głos

Nagrody na festiwalu przyznaje kilka składów jurorskich. Oprócz międzynarodowego jury, które wybiera laureatów Złotych Koziołków, swojego zwycięzcę wyłaniają nauczyciele, Europejskie Stowarzyszenie Filmu dla Dzieci czy Sieć Kin Studyjnych i Lokalnych. *Ale Kino!* jako jedyny festiwal filmowy przyznaje także specjalną nagrodę dla... filmu piłkarskiego! Jak na festiwal dla młodego widza przystało, ważny głos mają na nim młodzi, najliczniejsza grupa wiekowa uczestników wydarzenia. Wybierają oni Nagrodę Publiczności, a także zasiadają w kilku jurorskich składach. Co roku przed festiwalem odbywa się konkurs na członków Jury Młodych, złożonego z osób od 18. do 20. roku życia, Jury Dziecięcego, do którego należą 11-, 12- i 13-latkowie, oraz jury powstałego we współpracy z platformą skrytykuj.pl. *- Dajemy młodym widzom możliwość bycia jury na międzynarodowym festiwalu filmowym i wręczenia nagrody na oficjalnej gali. To naprawdę intensywny tydzień pracy, podczas którego jury przemawia głosem swojej generacji. Często nagrody te są zupełnie inne niż te, które przyznają dorośli jurorzy, albo są to te same filmy, ale z zupełnie inną argumentacją. Młodzi często zawstydzają nas, dorosłych, tym, w jak świadomy sposób oglądają filmy – przyznaje Karolina Kulig.*

Najważniejszą statuetką jest Platynowy Koziołek – nagroda specjalna dla wybranej organizacji, osoby czy postaci filmowej. W zeszłym roku zdobył ją Dział Edukacji Stowarzyszenia Nowe Horyzonty, a dwa lata temu – Reksio. Z tej okazji na Scenie Wspólnej odbyła się parada psów podobnych – nie tylko wyglądem, lecz także charakterem – do tytułowego bohatera znanej kreskówki. W tym roku Platynowy Koziołek powędruje do Koziołka Matołka, postaci z Pacanowa, rodem z komiksów Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza, która wychowała niejedno pokolenie młodych Polaków.

Goście, goście

O polskim widzu mówi się często jako widzu nieśmiałym i skrępowanym. Ten stereotyp w pierwszej kolejności łamią właśnie dzieci. Podczas festiwalowych spotkań zaskakuje otwartość i bezpośredniość młodych widzów, dociekliwie pytających o sprawy związane z filmowaniem i życiem poza granicami Polski. A tych, których można o to pytać jest na festiwalu niemało. W zeszłym roku jedną z zagranicznych gości była Stycie Waweru – kilkuletnia aktorka wcielająca się w główną rolę w kenijskim filmie „Supa Modo”. Podczas wizyty w Poznaniu, dzięki pomocy organizatorów festiwalu, pierwszy raz wybrała się na lodowisko i spełniła swoje marzenie o jeź-

dzie na łyżwach. *- Mimo że goście są anglojęzyczni, dzieciaki wśród publiczności nie czują żadnego oporu przed zadawaniem pytań osobom z zagranicy, skracają dystans, nie mają żadnych barier – dodaje rzeczniczka festiwalu.* Co roku festiwal odwiedza ponad 200 gości związanych ze światem filmu. W grudniu już po raz drugi, tym razem jako członek jury, festiwal odwiedzi Raško Miljković, reżyser filmu „Łowcy czarownic”, pokazywanego na Sundance Film Festival. Razem z nim w komisji zasiądzie Hanneke Schutte, która miała okazję pracować z Willemem Dafoe.

Poza konkursem

Poza pokazami kinowymi podczas festiwalu *Ale Kino!* odbywają się spektakle teatralne i warsztaty filmowe. Jeden z nich – projekt „Wielka Przygoda z Filmem” – organizowany jest w tym roku już po raz 26. Przez ostatnie ćwierć wieku uczniowie szkół średnich zrealizowali ponad 130 etud filmowych. Dla ich nieco młodszych kolegów i koleżanek przeznaczone są warsztaty „Filmujemy z gwiazdą”. Pod opieką zawodowych reżyserów i aktorów uczestnicy realizują własny pomysł na film. *- Są to absolutnie angażujące warsztaty, gdzie uczestnicy od zera tworzą scenariusz, są aktorami oraz zajmują się techniczną stroną filmu – opisuje Karolina Kulig.* Poza warsztatami dla grup szkolnych w programie znajdziemy Industry Pro – zajęcia skierowane do studentów szkół artystycznych zainteresowanych rozwojem rynku filmowego dla młodego widza. W ich skład wchodzi wykłady specjalistyczne, lekcje mistrzowskie i prezentacje filmowych nowości. Z myślą o gronie pedagogicznym organizowane jest Forum dla nauczycieli, które udowadnia, że sztuka może wpływać na zmiany postaw ich wychowanków. Tegoroczna edycja nosi tytuł „Przywrócenie równowagi – kino dla młodych widzów wobec antropocentryzmu” i przygląda się destrukcyjnej działalności człowieka wobec środowiska.

Zanim festiwal zagości w Poznaniu, filmy z poprzedniej edycji wyświetlane są w innych miastach Wielkopolski. *Wędrujące Ale Kino!* to wyjazdowa odsłona Międzynarodowego Festiwalu Młodego Widza *Ale Kino!* przeznaczona dla osób spoza Poznania, dla których dotarcie na festiwalowe wydarzenia jest niemożliwe lub utrudnione. Dzięki niej osoby mieszkające na przykład w Zbąszyniu czy Czarnkowie, także mogą wybrać swojego zwycięzcę, spotkać się z twórcami filmowymi i wziąć udział w warsztatach animacji.

8 dni, 200 filmów, tyle samo gości i 22 tysiące widzów – tak w liczbach wygląda festiwal *Ale Kino!*. W pierwszym tygodniu grudnia z Poznania przeniesiemy się w odległe części świata i nie będziemy potrzebować do tego żadnego środka transportu. Ewentualnie tramwaju, który zawiezie nas pod festiwalowe lokalizacje. A tam czekają na nas filmy, które otwierają oczy na drugiego człowieka, niosą uniwersalne wartości i pobudzają wyobraźnię osób w każdym wieku.

Co zrobisz, gdy spotkasz Daniela Lismore'a?

Nowa wystawa w Starym Browarze

➤ Tekst: Marta Kabsch

Kiedy rano zastanawiasz się, czy założyć biały t-shirt czy czarny, 1300 km dalej, w Londynie, Daniel Lismore też wybiera strój na rozpoczynający się dzień. Może nawet jednocześnie stwierdzać: "nie mam się w co ubrać". Różnica? Zawartość jego garderoby jest przedmiotem galeryjnych wystaw, oglądanych przez dziesiątki tysięcy osób.

Media mają trudności z wytłumaczeniem, kim jest. Na Wikipedii czytamy o nim po prostu - "designer" albo "fabric sculptor" (dosłownie: rzeźbiarz tkanin). Czym naprawdę zajmuje się Daniel Lismore? Konstruuje eklektyczne kostiumy, będące połączeniem materiałów i przedmiotów o najróżniejszym pochodzeniu. Jego inspiracje nie mają granic czasowych ani przestrzennych. Maria Antonina, japońskie gejsze, Masajowie, Andy Warhol, David Bowie. W pracach Lismore'a odbijają się style, moda i design z niemal każdej epoki i z dziesiątek krain geograficznych.

Wszystko to byłoby łatwiejsze do zdefiniowania i opowiedzenia, gdyby nie jeden ważny fakt - te fantastyczne stroje, niczym z barokowych gabinetów osobliwości, artysta nosi... na co dzień. To dlatego podczas wystaw pokazy-



wane są na manekinach naturalnej wielkości, sobowtórach ich twórcy. Każdy jest indywidualnie upozowany, z odlewem twarzy Lismore'a i pełnym, artystycznym makijażem.

Nowa wystawa w Galerii na Dziedzińcu w Starym Browarze wywoła z pewnością różne skojarzenia - terakotowa armia w chińskiej prowincji Shaanxi, pokaz mody haute couture, operowa garderoba. To ostatnie jest jak najbardziej uzasadnione, wszak niedawno w Browarze, w tych samych salach oglądaliśmy teatralne kostiumy projektu Ryszarda Kai. Sam Lismore na montaż wystawy w Poznaniu przyjechał zaraz po premierze "Maski Orefusza" w English National Opera, gdzie pracował jako główny kostiumograf. Dramatyzm i monumentalność jego projektów idealnie wpisały się w konwencję operowego show.

Nie o przebieranki tu jednak chodzi, a o autentyczność. Lismore powtarza za Oscarem Wildem: "bądź sobą, wszyscy inni są już zajęci". W swoim wykładzie na TED Talks powiedział, że "żyje jako dzieło sztuki". Wie, że jego wygląd przyciąga uwagę, jednak, jak twierdzi, szuka nie uwagi, a siebie. To

sposób na przełamywanie osobistych barier. Swoje stroje kilkakrotnie porównał ze zbroją, bo o prawo do bycia sobą trzeba dziś nierzadko walczyć. Choć brzmi to patetycznie, to we współczesnej Polsce także niepokojąco aktualnie.

Twórczość Lismore'a to także dobry pretekst do socjologicznych dyskusji o modzie. Ostatecznie wszyscy codziennie w jakimś stopniu się "przebieramy". Trudno się dziś odkleić od trendów, atakujących nas dosłownie zewsząd, i zdecydować, jak naprawdę chcielibyśmy wyglądać. Lismore z modą raczej flirtuje niż walczy, bo właśnie w tym środowisku może dawać upust swojej kreatywności. Regularnie współpracuje też z innymi twórcami, najchętniej przy projektach z pomysłem i ambicjami, by zmieniać świat na lepsze. Wziął udział w kampanii H&M "Close the Loop", promującej ubrania z recyklingu, a wspólnie z projektantką Vivienne Westwood rozwija proekologiczny projekt Climate Revolution. Niedawno wystąpił w charytatywnym pokazie mody "Fashion for Relief" organizowanym przez Naomi Campbell. Wspólnie z Wojciechem Piotrem Onakiem, projektantem i dyrektorem artystycznym, przygotował także wystawę w poznańskiej "świątyni mody" - Starym Browarze.



Fot. Vidar Logi

Ekspozycję Lismore'a w Galerii na Dziedzińcu można po prostu obejrzeć, zachwycić się wyobraźnią artysty, godzinami wpatrywać się w detale i składowe jego projektów, analizując ich pochodzenie. Można przyjść i zrobić niezłe zdjęcia na Instagrama (polecam lustro na parterze). Można też sięgnąć głębiej oraz zastanowić się nad znaczeniem ekscentrycznej twórczości i postawy artysty. Zamknięte w bezpieczny cudzysłów galeryjnej sali stroje wywołują zainteresowanie, zachwyt, podziw. Pytanie, co, gdy spotkamy Lismore'a przechadzającego się po Poznaniu w jednej ze swoich nietypowych stylizacji? Brytyjski "rzeźbiarz tkanin" jest jak barometr otwartości, tolerancji i po prostu - luzu.

"Jestem dziełem sztuki" Daniel Lismore
- wystawa na 16. urodziny Starego Browaru
Wernisaż: 5 listopada, wtorek, godz. 19:00
Wystawa czynna do 28 lutego 2020, codziennie, godz. 12:00 - 20:00
Galeria na Dziedzińcu, Stary Browar w Poznaniu
Bilety: 10 zł

Przesiew kulturalny

Jesienny wysyp klubowych wydarzeń

Seleksja: Michał Krupski

Jesień niekoniecznie musi być doliną, która sprzyja siedzeniu w domu i użalaniu się nad sobą. Może być również okresem, w którym przynajmniej raz w tygodniu ruszymy w miasto na jakieś ciekawe wydarzenie. A mamy ich cały wysyp. Skupiliśmy się na tych, które patronujemy oraz oczywiście na jednej dla nas najważniejszej, którą organizujemy dla Was. Zapraszamy 23 listopada do House Szkolna na zbiecie piątki z nami i wypicie toastu, bo stuknęło nam już 9 lat! Zachęcamy Was również do częstego korzystania z atrakcji kulturalnych Poznania, bo widać, że z sezonu na sezon dzieje się u nas coraz więcej! A to wszystko tylko i wyłącznie dzięki Wam, bo to frekwencja na wszelkich wydarzeniach pozwala na organizowanie kolejnych.

6.11 – 24.11 / festiwal

Jazz Ring Festival > Meskalina, Dragon, Tłusta Langusta, Estrada

Festiwal ten na stałe już wpisał się w kalendarium poznańskiej jesieni. W tym roku koncerty odbędą się w czterech miejscach. William's Things wystąpi w Estradzie 6 listopada, Pruchniewicz / An On Bast 8 listopada w Dragonie, Stasiuk / Trzaska 14-go w Republice Sztuki Tłusta Langusta. Ostatnie trzy odbędą się w Meskalinie i będą to Don Antonio 17-go, Quantum Trio 21-go oraz Aga Czyż 24-go. Na kilka z nich na pewno nasza ekipa się wybierze. Wam też to gorąco polecamy.

6.11 - 10.11 / festiwal

Festiwal Słuchowisk > różne lokalizacje

W tym roku słuchowiska już o raz czwarty zostaną przeniesione z eteru do przestrzeni miejskiej. W każdy dzień festiwalu będziemy mogli posłuchać nowych produkcji – zarówno dla dzieci i młodzieży, jak i dla dorosłych. Do premier wprowadzi nas konferencja naukowa poświęcona słuchowiskom radiowym i sound artowi, która odbędzie się w Collegium Maius. Festiwal Słuchowisk to wydarzenie, prezentujące zjawiska na pograniczu site specific, sound artu oraz teatru i performansu.

10.11 niedziela / impreza

Oliver Koletzki > Tama

Jedni narzekają na to, że bilety za drogie. Inni,

że za szybko się kończą i nie idzie zaplanować imprezy tak wcześniej. A jeszcze inni się cieszą, że tego dnia taka gwiazda wystąpi w Poznaniu. Faktem jest to, że nazwisko Koletzkiego grzeje nie tylko w stolicy Wielkopolski. Za każdym razem jak pojawia się w Polsce to jest głośno i imprezie w jego wykonaniu. Podejrzewamy, że i tym razem da świetnego seta w Tamie.

11.11 poniedziałek / impreza, pochód

Imieniny ulicy Św. Marcin > ul. Św. Marcin

Imieniny ulicy Św. Marcin są jednym z naszych ulubionych świąt. Na pewno jest to najfajniejsze święto miejskie. Czy znacie kogoś kto nie uwielbia naszych rogali? Czy jest ktoś, kto choć raz nie byłby na pochodzie? Wątpimy. W tym roku jako główna gwiazda wystąpi zespół Pablopavo i Ludziki. Szczegółowy program znajdziecie na naszej stronie internetowej.

14.11 czwartek / koncert

Brit Floyd > Sala Ziemi

Jeżeli ktoś jest fanem Pink Floyd to tego wydarzenia nie może przegapić. Brit Floyd jest najbardziej znanym na świecie zespołem, który wykonuje swoją muzykę w hołdzie Pink Floyd. Ich występy to głównie odtworzenie finałowej trasy mistrzów z 94 roku, która nazywała się „Division Bell”. Ich występom towarzyszy niesamowita scenografia, wielka ilość świateł, laserów i teatralne show.

14.11 czwartek / koncert

Niemoc > Pod Minogą

Niemoc w Poznaniu występowała już wiele razy i zawsze na koncertach udowadniali to, że ich występy są genialne. Ostatnio na Spring Breaku dosłownie porwali publiczność zgromadzoną w Próżności. Tym razem zagrają samodzielny koncert w klubie Pod Minogą. Supportować ich będzie Bluszcz, którzy wydają się idealnie pasować w tym zestawieniu.

14.11 – 16.11 / festiwal

Notaligia Festival > Muzeum Narodowe

W tym roku już dwunasty raz odbędzie się ten festiwal. Tym razem motywem przewodnim jest Rok Komedy. W 50 rocznicę śmierci tego wspaniałego artysty, o którym już wielokrotnie pisaliśmy na łamach naszego magazynu, będą wykonane premierowe aranżacje utworów Komedy w wykonaniu Piotra Orzechowskiego, Pianohooligan, Kuby Więcek, Aresa Chadzinikolau oraz koncert Oles Brothers Trio. Wydarzeniem specjalnym będzie prapremiera „Miniatur teatralnych i filmowych na altówkę i fortepian” Giya Kancheli w wykonaniu Marcina Murawskiego ...violist i Nino Jvania.

15-16.11 / targi

Poznańskie Targi Pivne & Street Food 2019 >

Międzynarodowe Targi Poznańskie

Rokrocznie wspieramy medialnie Poznańskie Targi Pivne. Wynika to z tego, że wiemy, ile pasji

w organizację tego wydarzenia wkładają ludzie, którzy odpowiadają za to, aby wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Targi te są zdecydowanie największą tego typu imprezą w stolicy Wielkopolski. Oprócz ogromnej ilości piwa, będzie też dostęp do strefy foodtrucków. Wśród wystawców znajdziecie ponad 80 przedstawicieli branży alkoholi kraftowych, w tym ponad 60 browarów.

16.11 – 24.11 / koncerty, film

Urodziny Radia Afera – Gaba Kulka, Lech Janerka, film Kult > CK Zamek, Muza

Zaprzyjaźnione Radio Afera w tym roku obchodzi już 29 urodziny. Nie możemy się doczekać 30-stki, bo zapewne będzie hucznie jak na naszej dysce, ale w tym roku też gwarantują świetne spotkania. Spotkania nie z byle kim, bo sam mistrz Lech Janerka zagra koncert w Sali Wielkiej 23 listopada oraz wspaniała Gaba Kulka tydzień wcześniej. Całość dopełni premiera filmu „Kult” w Muzie, która odbędzie się 24-go. Po koncercie Janerki zapraszamy oczywiście do House Szkolna na Prywatkę z Freshmagiem.

22.11 piątek / impreza

Urodziny Schronu > Schron

Jeżeli jesteście mocnymi zawodnikami, to bi-for przed naszą imprezą polecamy rozpocząć w Schronie, który obchodzi swoje urodziny. Impreza będzie trwać 14 godzin! Trzeba przyznać, że przez te 3 lata klub mocno wpisał się w świadomość poznańskich klubowiczów. Przez ten czas przechodził też sporo zmian, ale trzon wciąż jest taki sam. Życzymy wszystkiego najlepszego!

23.11 sobota / impreza

Prywatka z Freshmagiem > House Szkolna

Zapraszamy Was serdecznie na domówkę z Freshmagiem. Co roku robimy jakąś bibkę, zazwyczaj w innej lokalizacji. Byliśmy już w Labie, Tamie, Auli Artis, czy nieistniejących już Oczach, Nowej Sytuacji i Opcji. Tym razem przyszedł czas na jedno z naszych ulubionych aktualnie miejsc w Poznaniu, czyli House Szkolna. Za sterami imprezy staną Chłopaki z sąsiedztwa aka WOSK Soundsystem, Robert Błaszczyk oraz nasza re-

dakcyjna koleżanka Grażyna Biedroń. Wstęp jak zawsze w Housie jest darmowy, a Wy wchodzicie na hasło „Domówka z Freshmagiem”. Dla tych co nie wiedzą, klub mieści się na ul. Szkolnej 17.

28.11 czwartek / koncert

Daniel Spaleniak > Pod Minogą

Chłopaka tego możemy znać np. z piosenek, które były np. w serialu „Ozark”, czy „Elementary”. Jego nazwisko w amerykańskim światku filmowym stało się znane nie tylko z tych powodów. Jego twórczość możemy usłyszeć również w wielu innych produkcjach filmowych i serialowych. Do tej pory artysta wydał cztery albumy, które spotkały się raczej z ciepłym przyjęciem. Jego muzyka to mieszanka białego bluesa z folkiem.

28.11 – 8.12 / festiwal

Festiwal Przyjaciół Meskaliny

W tym roku na ósmej edycji, odbywa się aż osiem koncertów. Część z nich miała miejsce w październiku. W listopadzie i grudniu będziemy mogli przejść się na występy Michała Kmiecika, który zagra 28 listopada, Petera J. Bircha 1 grudnia oraz zespołu Anomalia 8 grudnia, którego jesteśmy najbardziej ciekawi z całego festiwalu. Wynika to głównie z tego, że wszystkich innych artystów już poznaliśmy nie raz. Tutaj mamy do czynienia z czymś nowym oraz bardzo ambitnym.

30.11 sobota / koncert

Sorry Boys > Tama

Sorry Boys za każdym razem wzbudza spore zainteresowanie w Poznaniu. Na każdym koncercie jest bardzo dobra frekwencja i to jest zdecydowanie najlepszą reklamą tego zespołu. Grali już w wielu miejscach, ale koncert w Tamie można uznać za taki, który może mieć jeszcze większy potencjał niż poprzednie, ponieważ klimat klubu bardzo sprzyja koncertom takim zespołom jak Sorry Boys. Z resztą nie tylko takim. My na pewno się wybierzemy i liczymy na to, że spotkamy tam wielu swoich czytelników.

1.12 niedziela / koncert

Mery Spoksky, Rat Kru > Blue Note

Musimy Wam się przyznać, że wśród dużej części ekipy Freshmaga jest spora sympatia do tej artystki i jej twórczości. Bardzo możliwe, że w momencie wydania magazynu, koncert jest już wyprzedany i wcale nas to nie dziwi. Mery jest objawem czegoś nowego i intrygującego, dlatego ma naprawdę wielu fanów. Tym występem będzie promować swój drugi krążek „Dekalog”. Jako gość wystąpi równie świetny duet Rat Kru.

7.12 sobota / koncert

Skankan > Alternativa

Legenda gatunku przyjedzie do Poznania, aby rozkręcić bibę roku w rytmach SKA. Od wielu lat czekaliśmy na ich koncert w stolicy Wielkopolski. Warto złapać tą okazję, bo raz, że kapela bardzo rzadko koncertuje. Dwa, że w Poznaniu nie było ich wiele lat. Trzy, są jednym z najlepszych bandów na żywo w naszym kraju, jeżeli nie najlepszym! Pastujcie buty, prasujcie koszule, wyciągnijcie najlepsze kiecki z szafy! Tą taneczną noc zapamiętacie na lata! Jako support zagra doskonale wszystkim znany zespół PWS (Przed Wschodem Słońca).

12.12 czwartek / koncert

Karolina Czarnačka > Dragon

Jeżeli Wam nic nie mówi jej imię i nazwisko, to musicie odpalić YouTube i włączyć kawałek „Hera, Koka, Hasz” i wszystko stanie się jasne. Karolina tą piosenką pokazała się światu i w ten sposób jej solowy projekt stał się rozpoznawalny. Jest też członkinią Żelaznych Wagin i Gangu Śródmieście. Jesteśmy przekonani, że nie będzie to zwykły koncert i na pewno w jakiś sposób zostanie zapamiętany na długo przez osoby, które będą w nim uczestniczyć.

15.12 niedziela / koncert

Kamp! > Tama

Zespół zebrał sporo materiału z letnich festiwali i postanowił wydać album, który nazywa się po prostu „Live”. Ukazał się on pod koniec października i tym sami chłopaki postanowili z tej okazji rozpocząć jesienną trasę, która oczywiście nie mogła ominąć Poznania.

Fajnie być zapamiętanym za coś pozytywnego

Wywiad z poznańskim społecznikiem Tomaszem Hejną

▼
Tekst: Natalia Bednarz

W stolicy Wielkopolski mieszka od urodzenia. Na co dzień jest radnym jednej z poznańskich rad osiedli, a w wolnym czasie przeczesa archiw publiczne i prywatne w poszukiwaniu starych zdjęć Poznania oraz... walczy z gemelą, czyli zaśmiecaniem przestrzeni publicznej. Za tę walkę został w październiku 2019 roku wyróżniony białą pyramą przez Gazetę Wyborczą. Zapytaliśmy Tomasza Hejnę o to, jak znajduje czas na swoje pasje, jaka dzielnica Poznania jest jego ulubioną, oraz po co nam w ogóle ładne otoczenie.

Co było pierwsze - Poznań czy fotografia?

Zdecydowanie sympatia do Poznania. Bez niej nie byłoby sympatii do fotografii. Poznań, jego historia, a także fotografia wzajemnie się uzupełniają. Obiektyw aparatu widzi więcej. Gotowe zdjęcie oczekuje refleksji, a nie tylko schowania "do szuflady".

Która dzielnica jest Twoją ulubioną i dlaczego?

Kiedyś wiele łączyło mnie z pięknym Sołaczem, ale to epizod. Najbardziej lubię Piątkowo. Z małymi przerwami mieszkam tu już prawie 40 lat. Lubię te stare, modernistyczne "maszyny do mieszkania" z masą zieleni i wszystkim pod ręką. Obok mam dwa rezerваты, mnóstwo zieleni. Lubię także inne rejony Poznania, często je zwiedzam i poznaję.

Jak dowiadujesz się o prywatnych zasobach wartych uwagi? Czy ich właściciele sami się zgłaszają?

Najczęściej ludzie sami oddają swoje zdjęcia. Oczywiście, są tacy, których wielokrotnie prosiłem, ale nie robię nic na siłę. Trzeba poczuć, że przekazując zdjęcia, ma się wkład w ich drugie życie. Bywają dłuższe historie, jak choćby ta ze znanym i cenionym poznańskim fotografem, obecnie sędziwym

panem. Czatowałem w deszczu pod jeżycką kamienicą, w której mieszkał, próbując go spotkać. Bezskutecznie! Okazało się, że znajoma znajomej zna jego córkę. Udało nam się spotkać i nawet miałem okazję poszperać w zbiorach, niestety kontakt się urwał, a ja nie chciałem być namolny.

Jak to było z Twoimi Facebookowymi fanpage'ami?

Pierwszy był Stary Poznań. Jeszcze zanim ruszył w 2013 roku, lubiłem czytać książki o Poznaniu, jego historii i mieszkańcach. Gemela poznańska powstała około pół roku później w konsekwencji moich wielo-kilometrowych spacerów po mieście. Jestem esteta, a więc strasznie drażniła mnie wszechobecna gemela. Od zawsze uważam, że detal tworzy całość. Co z tego, że zrobimy za dziesiątki milionów nową ulicę, jeśli jej elementy będą marnej jakości. To nie tylko kwestia estetyki, lecz także gospodarności. Oszczędność na jakości jest pozorna, bo tanie rozwiązania generują koszty w kolejnych latach użytkowania.

Gemela poznańska niedawno zniknęła z Facebooka, by po kilku tygodniach znowu się pojawić. Co było powodem?

Pomimo tego, że wiele rzeczy, o których na Gemeli pisałem, udało się załatwić, to pojawiły się w mojej głowie wątpliwości co do formuły strony. Wskazując na problem, to ja z nim zostaję - odbiorcy czytają, zapominają i żyją swoim życiem. Towarzysząca temu frustracja i świadomość indolencji części urzędników zarządzających miastem bywa dla mnie toksyczna. Czuliem, że marnuję czas i nerwy, który mogę zamienić na inne, skuteczniejsze działania. Wskazywanie na zaniedbania, fuszerki oraz słabą jakość inwestycji realizowanych przez Miasto nadal jest ważne, jednak chyba nie powinno być celem, a jedynie środkiem skłaniającym do refleksji i wyciąganiu wniosków. Po namyśle zdecydowałem jednak wrócić do tej działalności, bo jest

Fot. Tomasz Hejna



nadal dla mnie ważna.

Dlaczego tak ważne jest ładne otoczenie?

Moim zdaniem wartości estetyczne, wywołujące w nas takie przeżycia jak np. poczucie przyjemności i emocjonalne poruszenie, są w pewnym sensie bardzo blisko przeżyć towarzyszących obcowaniu z gemelą. Ona wywołuje poczucie niesmaku. Rozwijamy się, rośnie świadomość, szkoda jedynie, że głównie za sprawą działaczy społecznych, mniej urzędników. Często rozmawiam na ten temat z architektami, społecznikami, mieszkańcami. Jest wiele podmiotów działających właśnie w tym zakresie. Wygląda na to, że sprawy idą w dobrym kierunku, a ludzie coraz lepiej czują się w estetycznym otoczeniu. Ono sprawia, że czujemy się lepiej i pracujemy wydajniej. Nie zapominajmy jednak, że to co ładne dla jednego, może być kiczem dla drugiego. Dlatego nie warto zdawać się tutaj wyłącznie na badania. Estetyka to olbrzymi obszar i nie każdy się nadaje do jej interpretowania.

Czy Polacy są wrażliwi na gemelę?

Jak w każdej grupie społecznej, w każdym kraju i na każdym kontynencie, ludzie są bardzo różni. Dostaję wiele próśb o interwencje, a wielu ludzi mailowo dziękuje mi za podjęte działania, co świadczy o tym, że ich ta tematyka obchodzi. Myślę więc, że nie brakuje nam wrażliwości na gemelę, a czasu i determinacji. Jesteśmy gotowi rozmawiać, ale kiedy przychodzi do działania, wygrywa pogoń za życiem codziennym. Wrażliwość nie wystarczy - trzeba być przekonanym, że warto oddać cząstkę siebie w walce o lepszą, wspólną przestrzeń. Na pewno nie pomaga w tym świadomość bezsilności w kontakcie z Miastem.

Czy coś się w postrzeganiu wspólnej przestrzeni i miejskiej estetyki zmieniło przez te kilka lat Twojego działania?

To złożony temat, socjologia ma tu wiele do powiedzenia. Badania wskazują, że praktycznie każdy z nas dysponuje wrażliwością na otoczenie. Więk-

szość ankietowanych przez CBOS (82%) deklaruje zainteresowanie przestrzenią, która ich otacza. Prawie jedna trzecia przejawia w tym względzie wrażliwość szczególną twierdząc, że przestrzeń jest dla nich bardzo ważna. Po drugiej stronie jest 18%, które nie zwraca uwagi na otoczenie. To badania z 2010 roku - zakładam, że dziś jest lepiej. W końcu dysponujemy innymi narzędziami, jak smartfony i internet, które pozwalają emitować reklamy nie w przestrzeni miejskiej, a wirtualnej. Wracając do badań, aż dla połowy ankietowanych konieczna jest standaryzacja przestrzeni. To mnie cieszy. Firmy reklamowe to wielki biznes, a co za tym idzie - silne lobby, a każde działanie podjęte przez samorząd odbija się na zarobkach. Miasto prowadzi działania zmierzające do poprawy jakości przestrzeni, uważam jednak, że mogłoby robić to wydajniej, szczególnie, że postrzeganie przestrzeni przez mieszkańców ewoluje i będzie ewoluować w dobrym kierunku.

Czy między zwiedzaniem świata przez Google Maps, prowadzeniem tabelki w Excelu, odpisywaniem na maile, pracą radnego i innymi zobowiązaniami zawodowymi znajdujesz czas na relaks? Czy to możliwe wyłączyć myślenie o przestrzeni i wypoczywać?

To kwestia organizacji czasu. Dla mnie olbrzymią wartością jest autonomia, bycie samotnym wilkiem jest mi na rękę. Działam, kiedy chcę, i w jakim zakresie chcę. Zdarza mi się pisać e-maile do zastępcy prezydenta w niedzielę o pierwszej w nocy lub spać do dziewiętej. Z relaksem i wypoczynkiem, przysnaję, nie jest łatwo. Mocno przeżywam to, co dzieje się w mieście, i będąc w nim, nie potrafię o nim nie myśleć. Najlepiej relaksuję się w samotności, na łonie natury - uwielbiam z nią obcować i kontemlować jej piękno. Niestety, to nigdy nie trwa długo. Na ostatnich wakacjach byłem na początku tej dekady.

Co uważasz za swój największy sukces?

Niezbyt lubię to słowo, bo kojarzy mi się z pogonią i rywalizacją. Myślę, że jest nim Stary Poznań oraz wszystko, co udało mi się zdziałać społecznie. Fanpage zdobył szerokie grono odbiorców - cieszę się, że mogę się dzielić z mieszkańcami Poznania moją pasją i trochę przy tym edukować. Działalność społeczna to mniejsze lub większe sukcesy składające się na większą całość. Choć są efektem wspólnego działania, to wiele zależy nadal od tego, który sygnalizuje oraz inicjuje.

A co byłoby jeszcze większym sukcesem?

Fajnie być zapamiętanym za coś pozytywnego. To mi wystarczy. Może to i egotyczne podejście, ale dobrze mi z tym, że mogłem komuś sprawić przyjemność tym, co robię.

Śpiewająca z niedźwiedziami

Anna Szyfter - poznanianka, która przemierza zimną Północ na rowerze... i w towarzystwie psa

Tekst: Natalia Bednarz

Kiedyś podróżowała prawie wyłącznie weekendowo, a rowerowe wyprawy po Niemczech, Austrii, Czechach, Danii czy Polsce trwały maksymalnie tydzień. W 2015 roku zrealizowała marzenie o długodystansowej podróży. W ciągu 80 dni pokonała trasę wokół morza Bałtyckiego od Braniewa przez Kaliningrad, Litwę, Łotwę, Estonię, Finlandię, Szwecję, Danię i Niemcy - w sumie 5744 kilometry. A wszystko to rowerem i w towarzystwie suczki shih-tzu, Elzy. Poznajcie Anię Szyfter, poznańską podróżniczkę zakochaną w chłodnej Północy.

Wyprawa z 2015 podsyłała podróżniczy apetyt. W 2016 roku Ania kontynuowała trasę z Rovaniemi, najbardziej wysuniętego na północ miejsca, do którego udało się jej dojechać z Polski, przez Laponię aż na Nordkapp i z powrotem. W 2017 dla odmiany pojechała z Wiednia przez Bratysławę do Poznania. Z Anią udaje mi się porozmawiać krótko po powrocie z ostatniej, miesięcznej wyprawy po Karelii. Z promu do Helsinek, dalej na wschód i na północ wzdłuż rosyjskiej granicy, aż do Kaajani Ania przejechała 1600 kilometrów.

Przypadek? Nie sądzę!

Choć do tego, by wybrać się w tak daleką trasę, jak sama mówi, musiała dojrzeć, to kierunek podróży wybrała... przez przypadek. - Na południe nie chciałam, bo górzyscie i gorąco, a ja nie lubię jeździć w upale. Na zachodzie wielka urbanizacja i koncentracja ludzi, ciągła jazda wśród cywilizacji. Wschód wydał mi się zbyt wielkim wyzwaniem jak na początek. Pomyślałam, może Bałtyk? Pojechałam... i przepadłam. Północ mnie urzekła. Muszę tam wracać! - mówi podekscytowana. Z wyborem środka transportu nie było natomiast żadnego problemu. - Na rowerze jeżdżę od kąd chodzę i zawsze część wakacji spędzałam pedałując z sakwami. Rower kocham za wolność, jaką daje, za to, że nie wymaga kupowania biletu, nie ma godziny odjazdu, nie wymaga drogiego tankowania, jest za to wielka satysfakcja z bycia w drodze.

Zupełnie inna samotność

Choć Ania nie jeździ sama, bo towarzyszy jej pies, zdarza jej się zatęsknić. - Zaskoczyło mnie to, że o wiele ciężiej jest samej w podróży niż prowadząc

samodzielne, niezależne życie w swoim mieście. Tęsknota dopada szybko. Pomaga mi stały kontakt online i prowadzenie bezpośrednich relacji z podróżnymi. Czuję, że niektórzy czytelnicy dosłownie "jadą ze mną". To wspaniałe, bardzo sobie cenię ich wsparcie! - dodaje. Dużą rolę odgrywa także couchsurfing, w ramach którego Ania działa od 2014, goszcząc podróżniczek i szukając gospodarzy gotowych przemocować ją w podróży. - Dobrze wiedzieć, że ktoś na mnie czeka wieczorem. Z tego samego powodu na biwak wybieram campingi. W ciągu dnia bycie wśród ludzi nie jest mi potrzebne, ale po wielu godzinach zmagania fajnie móc wieczorem wymienić z kimś kilka zdań. Podczas mojej ostatniej wyprawy było o to najtrudniej. Karelia nie jest regionem turystycznym, zwłaszcza jesienią, kiedy się tam praktycznie nie podróżuje. Kontakt z ludźmi był utrudniony. - wspomina. Podróż przez pustkowia to nie tylko ludzie, ale przede wszystkim natura i zwierzęta. - We wschodniej Finlandii podróżowałam pod koniec sezonu lęgowego niedźwiedzi. Ostrzegano mnie na przykład, że drogą, którą zamierzam ruszyć, przechodziły niedawno niedźwiedzie, w tym samice z małymi. Wiedząc, że rower jest praktycznie bezdźwięczny, okolica całkiem cicha, jechałam śpiewając, by słyszące z odległości 2 kilometrów niedźwiedzie wiedziały, że jadę - wspomina Ania. Zupełnie inaczej było na Spitsbergenie - tam do ewentualnej obrony przed niedźwiedziami polarnymi Ania dostała do ręki broń, bez której wychodzenie z osady jest zabronione. Podczas jednej z podróży okazało się, że Elza nie znosi reniferów. - Gdy widzi rogacza, z małego pieska zmienia się w dziką, szczekającą, miotającą się w transporterze bestię. Raz w swoim zaciętrzewieniu przewróciła rower! Za to fascynują ją krowy... i to z wzajemnością - śmieje się Ania.

Mały wielki pies

Elza - wbrew temu, co mogłoby się niektórym wydawać - nie tylko nie przeszkadza, lecz wręcz ułatwia i zmienia na korzyść optykę wyjazdów. - Uwielbia nie tylko podróże rowerem i wędrówki, lecz także nowe znajomości. Bardzo pomaga mi w przełamywaniu lodów i sprawia, że zarówno ja, jak i spotykani ludzie, otwieramy się na siebie. - mówi Ania. Na blogu można znaleźć wpisy o tym, jak Elza ułatwia zabukowanie noclegu, czy przyciąga uwagę ludzi potrafiących wskazać drogę. Piesek umie zadbać

o siebie... i swoją miskę. - W ostatniej podróży spotkałyśmy sklep mięsny na kółkach - samochód z ladą chłodniczą w środku, który jeździ po stałej trasie od wsi do wsi o małej gęstości zaludnienia. Elza oczarowała panów rzeźników i bez problemu wyłudziła kilka smacznych kąsków - wspomina Ania.

Psia pogodynka i labradoidy

Ania wychodzi z założenia, że trzeba być zawsze gotowym na dobre rzeczy. - Na wiele ciekawych miejsc czy nawet wydarzeń trafiłam zupełnym przypadkiem. Nic z tych rzeczy nie przydarzyłaby mi się, gdybym siedziała w domu. Na samym początku tegorocznej wyprawy trafiłam na maszyną ulewę, która zalała metro w Helsinkach, ale mnie nie zatrzymała. Do miasteczka Lovisia, celu obranego na ten dzień, trafiłam całkowicie przemoczona... ale za to w sam środek festiwalu starego budownictwa, na czas którego całe miasteczko zamieniło się w pchli targ. Poznałam tam miejscowych wegan, a oni polecili mi świetną knajpkę w okolicy. Gdybym zechciała przeczekać deszcz, wszystko to pewnie by mnie ominęło.

Blog i fanpage Ani to kopalnia wiedzy, ciekawostek, zaskakujących relacji z wielu krajów, miast, wiosek i innych miejsc. Można się z nich dowiedzieć między innymi, że fiński prezenter pogody przychodzi do studia i pokazuje się na antenie z psem Sini, oraz że w fińskim Muzeum Spektrolitów oraz kamieniołomie można obejrzeć oraz samemu wydobyć i zabrać ze sobą cenny minerał do domu. Zapytana, czy ma już plany na przyszłość, kręci głową. - Nie dla mnie długie i żmudne przygotowania. Jak na coś wpadnę, od razu chcę to realizować. Jestem otwarta na to, co przyniesie los.

Więcej ciekawostek i obszerne relacje z podróży Ani znajdziecie na fb.com/NinjaTravels



Soup CULTURE

- wegetariańskie i wegańskie menu
- pierwsze w 100% jadalne opakowania
- świetna atmosfera

Sprawdź nas!
Poznań
ul. Dąbrowskiego 15





**Nie,
to nie
będzie tu
tolerowane**

niet@nie.com

POZnań*